CZWARTEK Nr 22 — 7 VI 1984 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

II Harcerskie Spotkania Kulturalne '84

BEZ PATOSU ZA TO Z HUMOREM

patrz str. 5

Na scenie w Sieradzu bajki cieszyły się powodzeniem

Fot. **Zbigniew Bisanz**

Ostroga...

Ostroga...

Ostroga...

świat młodych

ZŁOTA OSTROGA

Nie nakładaj wędzidła wyobraźni

Chcemy by było ich wśród nas jak najwięcej: bystrych obserwatorów, pogodnych komentatorów, ludzi, którzy umieją dostrzegać wokół siebie wiele, i ciekawie o tym opowiedzieć. Krótko mówiąc, z otwartymi rękami czekamy na autorów twórczych, dociekliwych, refleksyjnych, myślących i... koniecznie z poczuciem humoru.

Od lat mamy szczęście spotykać takich właśnie ludzi wśród czytelników „Świata Młodych". Między innymi ułatwia nam to nasz doroczny konkurs literacki „Złota Ostroga". W konkursie, jak to w konkursie, nie każdy może być zwycięzcą, ale każdy może sił spróbować. I Ty pokaż co potrafisz. Przypominamy: warunek podstawowy udziału w tej wspólnej zabawie – to umiejętność, którą sugeruje hasło tegorocznego konkursu – patrzenia na świat z PRZYMRUŻENIEM OKA. Termin nadsyłania opowiadań upływa z dniem 30 lipca br. Szczegółowy regulamin drukowany był w nr 28 z dnia 6.III. i 41 z 25.IV. Zajrzyj więc tam i do dzieła! **(eb)**

Propozycja dla każdego

„Świat Młodych" dla Twoich rówieśników z Polonii

Lato za pasem. Razem z nim obozy i kolonie. Również dla tych, którzy choć czują i mówią po polsku, żyją na co dzień z daleka od naszego kraju. Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" jak co roku organizuje w Polsce kolonie dla polonijnych nastolatków. Zobaczą najpiękniejsze zakątki wielu regionów, wzbogacą swą wiedzę o ojczyźnie przodków, poznają jej dzień dzisiejszy, zawiążą nowe przyjaźnie z polskimi rówieśnikami.

Jeśli chciałbyś nawiązać korespondencję z przedstawicielami najmłodszego pokolenia Polonii – prześlij do nas swój adres, zdjęcie oraz krótką informację o własnych zainteresowaniach; spróbuj napisać swoją autocharakterystykę.

Wszystkie adresy trafią do zainteresowanych.

Na kopercie zaadresowanej do naszej redakcji zaznacz: POLONIA.

DLACZEGO?

Pewnego dnia (ściślej mówiąc pewnego piątku) pani od ZPT sprawdzała modele prostopadłościanu. Mój model znajdował się w opłakanym stanie, gdyż podczas przerwy ktoś nadepnął na moją teczkę.

Wpisany jestem w dzienniku na siedemnastym miejscu, toteż miałem dużo czasu na intensywne myślenie. Nie bardzo chciało mi się między piątki i czwórki wprowadzić dwójkę. Z kłopotu wybawił mnie kolega.

– Masz mój prostopadłościan. Wprawdzie dostałem trójczynę, ale to lepsze niż dwója.

Wziąłem model i poleciałem dać go do oceny. Jakież było moje zdumienie, gdy zobaczyłem, że nauczycielski długopis kreśli czwórkę. Dlaczego? Czy dlatego, że w ogóle lepiej się uczę niż kolega?

Adam

DLACZEGO?

Martwi mnie brak życzliwości wśród ludzi. Idziesz do przystanku autobusowego. Autobus właśnie podjeżdża, ale nie zdążyłeś podbiec na czas. Kierowca nie poczeka, choćby miało to trwać kilka sekund. Nie zrobi tego nawet dla staruszki, która ledwo chodzi. Przeciwnie – zamknie drzwi i szybko odjedzie.

A jak jest w sklepach? Gdy zamkną ci sklep „przed nosem" i poprosisz sprzedawczynię, żeby była tak miła i podała ten jeden chleb, którego nie masz na kolację, odpowie (nie, nie odpowie, lecz odburknie): nie wiesz, że już po szóstej? Myślę, że gdyby była dobrym człowiekiem, to zachowałaby się inaczej. Czy wszędzie jest podobnie? I dlaczego tak jest?

Ja wiem, że bywają i inni. Jedną z nich jest sprzedawczyni w małym sklepiku spożywczym w naszym osiedlu. Obsługuje go sama a zawsze jest uśmiechnięta. Lubimy chodzić do tego sklepiku, choć jest bardzo mały i nie zawsze dobrze zaopatrzony, ale jest w nim miło. Dzięki tej kobiecie.

Co robić, żeby ludzie z którymi się stykamy byli życzliwi?

Anna z Bydgoszczy dzielnica Jachcice

„Myślący" telefon

(FRANCJA). Pod koniec tego roku na rynku francuskim ma się ukazać w sprzedaży nowy typ telefonu. System opracowany przez specjalistów z firmy „Thomson CSF" polega na tym, że aparat wybiera automatycznie dany numer po ułyszeniu nazwiska osoby, z którą ma być przeprowadzona rozmowa.

Klej do tętnic

ZSRR (PAI). W ZSRR otrzymano klej biologiczny przyspieszający łączenie mikronaczyń. Otrzymywana ze składników krwi substancja mocno łączy delikatne odgałęzienia tętnic o przekroju do 1,5 mm. Nowa metoda pozwala na użycie mniejszej ilości nici chirurgicznych.

Klej może być stosowany również do tamowania krwotoków z naczyń włosowatych i przy operacjach mózgu.

Pod patronatem „Motywów", „Na przełaj" i „Świata Młodych"

Harcerski bieg „Po złoty liść jesieni"

(Inf. wł.) Wprawdzie do najbliższej jesieni pozostało jeszcze sporo czasu, ale już dziś informujemy, że w połowie października zorganizowany zostanie pierwszy centralny finał harcerskich przełajowych biegów „Po złoty liść jesieni". Poprzedzą go, rzecz jasna, eliminacje na obozach i w hufcach (w czasie lata) oraz chorągwiane (we wrześniu). Najlepsi spotkają się w finale ogólnopolskim.

W harcerskich biegach startować może każdy: uczennice i uczniowie szkół podstawowych walczyć będą o puchary „Świata Młodych", ich starsze koleżanki i koledzy – o trofea redakcji „Na przełaj", zaś instruktorki i instruktorzy – o nagrody „Motywów". W zawodach centralnych prowadzona też będzie punktacja chorągwi – o puchar Głównej Kwatery ZHP. W finale imprezy wystąpią 3-osobowe zespoły dziewcząt i chłopców w każdej kategorii wiekowej. Organizatorzy biegów stawiają uczestnikom tylko jeden warunek – nie mogą być oni zrzeszeni w klubach (poza SKS-em).

A oto dystanse dla poszczególnych kategorii: harcerze młodsi – 1500 m (dziewczęta) i 2000 m (chłopcy), starsi i instruktorzy (analogicznie) – 2000 i 3000 m. O przebiegu wszystkich eliminacji informować będziemy na bieżąco. **(zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**

Nie można pozwolić, by ta energia się zmarnowała

Wszystko zaczęło się w Dniu Zucha. Rozgrywano właśnie Wielki Turniej Sprawnościowy, zaczęła się konkurencja „z piórkiem". Baśka ogromnie rozemocjonowana coś krzyczała, sterowała swym zuchem, aby tylko lepiej i szybciej ukończył bieg. A potem jak się cieszyła, gdy jej maluch wygrał! Z jaką dumą, z jaką radością i entuzjazmem patrzyła na swą sprawną drużynę! Przecież ona się przejmuje bardziej niż zuchy. Musi ich bardzo lubić – pomyślałam. Chyba właśnie dlatego, gdy dh Ewa zaproponowała mi prowadzenie drużyny zuchowej, nie powiedziałam nie. Tak, oczywiście, ósma klasa, dużo obowiązków, mało czasu, ale... Ale przed oczami stoi wciąż Baśka ze swymi zuchami. Praca, obowiązek, ale jaka satysfakcja, jaka radość, gdy się uda!

Trochę się bałam, czy dam radę. Ale była jeszcze Gośka, która też propozycję przyjęła. Więc ustaliłyśmy, że będziemy pracowały razem. A ponieważ za młode byłyśmy na drużynowe – zostałyśmy przybocznymi. Bez drużynowego.

Na pierwszą zbiórkę przygotowałyśmy się starannie. Okazało się, że zuchy są już w trzeciej klasie, ale niewiele umieją, choć miały zdobyte po dwie gwiazdki. Miały też dużo energii i chęci do działania, nie wiedziały tylko co i jak robić. Kiedy więc dowiedziały się, że będą miały dwie przyboczne, ogromnie się ucieszyły. Podstaw musztry nauczyły się bardzo szybko. Równie szybko zaakceptowały propozycję zdobywania sprawności Indianina, i to, że przybędzie wiele nowych obyczajów, a drużyna mimo obecnie królującej cywilizacji nieco dziką się stanie wzorem plemion indiańskich z Dzikiego Zachodu. Szybko zapamiętały kilka indiańskich słówek i okrzyków, przyjęły wiele nowości. Bardzo im się to wszystko spodobało i nie chciały nas puścić do domu.

Ja zajęłam się zabawą, organizacją, pomysłami zbiórek. Gośka zaś na zimno wszystko oceniała i korygowała moje błędy. Już teraz, po pierwszej zbiórce widać, że osadzenie w drużynie dwóch zupełnie różnych przybocznych (ja roztargniona, żywo wszystko przeżywająca, Gośka rozważna, chłodna i dokładna) było pomysłem bardzo dobrym.

Człowiek przez całe życie coś odkrywa i nie przeszkadza mu, że to już dawno odkryto. Moim ostatnim odkryciem były zuchy. Praca z nimi – to pole popisu dla wyobraźni, radość i satysfakcja. Zuchy bardzo chcą być zuchami w pełnym tego słowa znaczeniu, chcą się uczyć, bawić, śpiewać i mają cały zapas niespożytej energii. Nie można pozwolić, by ta energia się zmarnowała. Rozejrzyjmy się wokół, może są jakieś zaniedbane drużyny bez opieki, a może ich drużynowa czy drużynowy nie daje sobie rady i trzeba mu pomóc? Warto się zająć zuchami. Zuchy – to przyszli harcerze. Trzeba już teraz zadbać o to, aby w przyszłości byli dobrymi harcerzami.

Agnieszka

Szczep Barciany
Hufiec Kętrzyn

CZTERNAŚCIE DNI W OLEŚNICKIM ZAMKU

Na dworcu w Oleśnicy znalazłam się kilka minut po dziewiątej. Obładowana niczym wielbłąd dwugarbny wyglądałam chyba bardzo cudacznie. Przechodzący obok mnie ludzie robili dziwne miny, a pani w kiosku „Ruchu" uśmiechnęła się rozbrajająco:

– Do zamku pójdzie druhna prosto, aż pod most, a następnie skręci w prawo.

Zdziwiłam się:

– Skąd pani wie, że jestem druhną!

– U nas bardzo często można spotkać harcerzy pytających o drogę do zamku.

Za pół godziny znalazłam się u kresu podróży. Wraz ze mną do zamku kierowały się kilku i kilkunastoosobowe grupy harcerzy. W recepcji zamkowej panował prawdziwie targowy nastrój. Ludzie rozsiedli się na podłodze z braku wolnych miejsc i prowadzili ożywione konwersacje na temat pierwszych oleśnickich wrażeń, zawierali nowe znajomości. Wreszcie przydzielono nam pokój. Po długiej wspinaczce dobrnęłyśmy na trzecie piętro. Rozpakowałyśmy rzeczy i przystąpiłyśmy do zwiedzania.

Trzy skrzydła zamku (które zajmują harcerze) podzielone są na dwie części. Pierwsza to część hotelowa. Tu znajdują się pokoje, kuchnia, jadalnia, oraz sala piosenek i pląsów. Druga część – dydaktyczna, to: biblioteka, aula, sala rycerska, korytarz „pod słoniem" (z prawdziwą głową słonia, wypchanym niedźwiedziem i innymi trofeami myśliwskimi). W podziemiach (te również zagospodarowano) – sala do majsterki i dyskotekowa. A wszędzie mnóstwo schodów: wąskie, kręte, kamienne dla niegdysiejszej służby i dostojne, drewniane z rzeźbionymi poręczami dla księżnej.

O 13 był obiad, a potem apel inauguracyjny i omówienie programu. Komendant, druh Adam Kiewicz, podzielił nas na drużyny (cztery), przydzielił drużynowych i zapoznał z programem kursu. I zaraz potem pierwsze zajęcia w drużynach (po 40 osób). Wieczorem mamy dosyć, padamy z nóg. Jeśli tak będzie dalej nie wytrzymamy długo.

* * *

Tak minął pierwszy dzień mojego pobytu w Centralnej Szkole Instruktorów Zuchowych w Oleśnicy na XV Kursie Drużynowych Zuchowych. Kurs trwał 14 dni, dni niezwykle pracowitych i wyczerpujących. Pracowaliśmy od rana do wieczora: pobudka – 7.00; gimnastyka – 7.15; apel – 7.45; śniadanie – 8.00; zajęcia przedpołudniowe – 9.00–13.00; obiad – 13.00; cisza poobiednia – 13–15.00; zajęcia popołudniowe – 15.00–18.00; kolacja – 18.00; zajęcia wieczorowe – 18.30–20.30; kominek – 20.30–21.30; apel – 21.45–22.00; cisza nocna – 23.00 i tak codziennie „świątek, piątek czy niedziela".

Na pierwszy ogień poszły wykłady – rzecz właściwie nudna, lecz wiadomości na nich przekazywane niezbędne w pracy z zuchami. Przez pierwsze dni przechodziliśmy kryzys: zmęczenie, wciąż gonimy między salami wykładowymi. Wielu z nas tego nie wytrzymało – wyjechali. Zostali ci najbardziej wytrwali. Oczywiście prócz wykładów były także pląsy, piosenki, majsterka, i wiele naprawdę przyjemnych zajęć. W drugim tygodniu w większości pracowaliśmy indywidualnie (konspekt zbiórki, cykl sprawnościowy, roczny plan pracy) bez pośpiechu i zdenerwowania. Nie zabrakło też przyjemności: wizyta we Wrocławskiej Operetce, dyskoteka.

Jest taki zwyczaj, że w ostatni wieczór, razem przy kominku, uczestnicy oleśnickich kursów podpisują zobowiązanie, iż zawsze „w każdym czasie i na każdym miejscu będą pełnić służbę dzieciom, nieść im radosną zabawę, pomagać poznawać prawdziwy świat i prawdę o ludziach". I my też takowe złożyliśmy.

Na pożegnalnym apelu otrzymaliśmy upragnione patenty drużynowych zuchowych. Wróciliśmy do domu z głowami pełnymi pomysłów, notatnikami pękającymi od adresów nowych znajomych, i kursowymi chustami, które chyba niejeden z nas powiesił sobie nad łóżkiem, by zawsze powracać do tych czternastu dni w Oleśnicy.

* * *

Od zakończenia kursu minęło już kilka miesięcy, lecz wydaje mi się, jakby to było zaledwie parę dni temu. To, że wyniosłam z Oleśnicy wiele, nie ulega wątpliwości. Wiem jak pracować z zuchami, najmłodszymi członkami naszego Związku. Mam wiele nowych znajomych w całej niemal Polsce. Przede wszystkim jednak nauczyłam się współnej pracy i zabawy.

Pozdrawiam kadrę i wszystkich uczestników kursu

Czuj!

„Lipcowe słoneczko"

O WIOŚNIE i moich maluchach

Po raz trzeci zasiadam do pisania tego listu. Dwa wcześniejsze wylądowały w koszu. Powód? Jeden był zbyt pesymistyczny (o, ja biedna, świat jest podły, itp.) drugi zbyt optymistyczny (jestem jak motylek i fruwam z kwiatka na kwiatek). Cóż, do trzech razy sztuka.

Zrobiło się tak gorąco, że wybrałyśmy się z Iwoną na długi, długi spacer. Tematów do rozmowy nie brakowało. Trochę powygłupiałyśmy się, powspominałyśmy, pomarzyłyśmy. Ech, wiosna jest cudowną porą roku. Gdyby nie te egzaminy do liceum...

Korepetycje mam z bardzo sympatyczną panią. Ona jest chyba czarodziejką, bo jak robię zadanie w jej obecności, jakoś zawsze umiem. W każdym bądź radzie powiedziała, że nie jestem znów taka noga i że powinnam zdać, nie ma powodów do zmartwienia. Miejmy nadzieję. Chociaż nadzieja to matka głupich, ale zawsze z nią jakoś łatwiej żyć.

W sobotę rozpoczęliśmy wielkie porządki w naszej harcówce. Wróciłam z poobijanymi paluchami od wbijania gwoździ w ścianę. Na drugi raz nie będę taka głupia i zaangażuję do tego jakąś płeć męską (ale gwoździe wbiłam!).

A potem poszłam z dwiema dziewczynkami z mojej zuchowej drużyny – „Krasnalkami" po chleb. Wystałyśmy się co niemiara, a na otarcie łez kupiłam słodką bułkę, którą wspólnie spałaszowałyśmy. Potem musiałyśmy „wystać" napój, bo zupełnie zatkałyśmy się słodkim ciastem. Przy okazji dużo dowiedziałam się o nich dobrego i niestety, złego. Na to złe nie bardzo wiedziałam co powiedzieć, bo przecież nie wystarczy samo „fee, Agatko, to niełądnie". Co prawda „krasnoludkowe" panny były zgodne co do jednego:

– Chciałybyśmy, aby druhna była naszą mamą – ale ostudziłam nieco ich zapały, mówiąc, że nie zawsze byłabym taka anielska i że też wymagałabym aby się uczyły, sprzątały i chodziły do sklepu.

– Niech druhna zobaczy jaka śliczna dziewczyna. Boże, jak bym chciała być taką – wskazały mi owe „bóstwo". Ten ideał ma długie farbowane włosy, rzęsy na pół kilometra, spódnicę z ogromnym wycięciem, szpileczki. Ma 17 lat, a wygląda na dwadzieścia parę.

Tak sobie to wszystko przemyślałam i doszłam do wniosku, że w przyszłym roku nie będzie tak dobrze. Zostawię sobie tylko najlepszych i najbardziej zaangażowanych zuszków. Liczba dzieciaków wciąż rośnie (albo mi się troi w oczach) i przez tą masowość nie mogę dotrzeć do każdego. Żresztą, gdy jest duża grupa, samej ogromnie trudno utrzymać dyscyplinę i muszę coraz częściej stosować „środki nadzwyczajne" w postaci gróźb, kar i obietnic poprawy wpisywanych do księgi. Do największych łobuzów należy oczywiście mój Kubuś. Tu przydałaby się mocna i stanowcza dłoń męska, bo mnie zupełnie nie bawi udawanie groźnej. Poza tym jestem dziewczyną... Groźnej nie muszę tylko udawać, gdy się zdenerwuję. Chyba trochę czują przede mną respekt, bo w ostateczności gotowa jestem po prostu urlopować ich ze zbiórek, a w końcu oni też chcą się bawić i przeżywać przygody. Kubuś jest cwany dopóki nie poczuje nad sobą mocniejszego. I ja muszę być tą mocniejszą. To ogromnie męczące!

Rozgadałam się o tych moich maluchach, ale jakoś tak mocno weszli już w moje życie – to raz, a dwa – po prostu lubię o nich opowiadać i patrzeć na świat oczami ucznia drugiej klasy, któremu imponuje wszystko, co dorosłe. Ja też jak byłam mała... Właśnie, przypomniałam sobie! Ja też marzyłam, że będę się mocno malować i modnie ubierać. Może więc jest to niegroźne i z wiekiem przechodzi? Oby!

W planach mam bieg po sprawność „listonosza" za jakieś dwa, trzy tygodnie oraz mecz piłki nożnej w ramach sprawności indywidualnej „piłkarz". Bzika mają na punkcie tego sportu moi chłopcy. Męczą mnie i wciąż chcą grać w nogę. Ta ich „noga" wygląda zresztą bardzo marnie. Często łapią się za łby, a za piłką latają całą chmarą. Ale mecz musi być klasą! Zauważyłam, że oni nie umieją przegrywać... Smutne, bo ja zawsze cenię w człowieku właśnie tę trudną umiejętność. Tak bardzo bym chciała ich tego nauczyć, choć w części. I żeby nie było żadnych kłótni, obrażania na siebie... Prawie jak bajka!

Anka

REDAKCYJNA POCZTA

Żyć ze wszystkimi w zgodzie

Zawsze z wielkim zaciekawieniem czytam „RP" i postanowiłam napisać o tym, co inni uważają za nierealne. Otóż jestem bardzo szczęśliwa. Mam oddanego przyjaciela. W szkole idzie mi dobrze, choć trochę się boję egzaminów do LO. Moje stosunki rodzinne również układają się bardzo dobrze. Po prostu kocham życie. Kocham je cały czas, nie martwię się nawet jeżeli mi coś w szkole nie wyjdzie. Po prostu staram się to naprawić. Podobnie postępuję w razie nieporozumień z koleżankami lub z kimś z rodziny. Nie wpadam w histerię i nie lituję się nad sobą. Razem z moją kochaną przyjaciółką rozwiązuję trudne problemy. Przyjaźnimy się ze wszystkimi, ze słabszymi i odrzuconymi przez innych również. Nie dzielimy koleżanek i kolegów na lepszych i gorszych. Po prostu ze wszystkimi żyjemy w zgodzie. Jeżeli ktoś chce napisać do mnie, to bardzo proszę.

Małgorzata Panicz

Nie lubią Cię za szpan

Piszę w sprawie listu Ewy z 37 numeru „ŚM", która poruszyła sprawę modnego ubierania się do szkoły („Pumpy i rock").

Mieszkam na wsi i znam stosunki w wiejskich szkołach. Zupełnie nie zgadzam się z Tobą. Twierdzisz, że chłopcy z Twej klasy nie akceptują Ciebie, bo nosisz luźny sweter i spodnie typu pumpy oraz uwielbiasz rocka.

Wydaje mi się, że to nie Twoi koledzy, ale Ty uważasz, że ten sweter, że spodnie i to uwielbienie dla muzyki rockowej jest takie miejskie i właśnie dlatego ją „uwielbiasz", dlatego tak się ubierasz. Po to, aby się wywyższyć. I właśnie to się nie podoba Twoim kolegom!

Napisałaś, że nauczyciele Cię źle traktują. Nie piszesz jednak na czym to polega, ale mam prawo przypuszczać, że do szkoły ubierasz się zanadto modnie.

Wyznałaś, że dobrze się czujesz z przyjaciółmi z miasta, gdyż oni ubierają się jak Ty. A może dla Ciebie najważniejsze są ciuchy i dlatego tak źle się czujesz wśród gorzej ubranych?

Violetta

A może to przekorne zaloty?

Chodzę do VII klasy. Jestem wesoła, lubię się śmiać i wszyscy uważają mnie za miłą dziewczynę. Mam jednak kłopot – nie lubię jednego z kolegów. Zbyszek (tak ma na imię) dokucza mi i robi wszystko, żebym go jeszcze bardziej nie lubiła. Gdy np. idę korytarzem, zagradza mi drogę i wypytuje o niestworzone rzeczy, chodzi za mną jak cień albo przerywa moje rozmowy z kolegami i grozi mi. Staram się go unikać, ale to nic nie daje. Często próbuję też nie odzywać się do niego, ale wtedy idzie za mną i wykrzykuje na cały głos, że ja się do niego nie odzywam. Poradźcie, co robić?

Ania

OD REDAKCJI: Rzeczywiście trudno polubić kogoś tak natarczywego. Zbyszkowi prawdopodobnie chodzi jednak o to, żebyś go zauważyła i... polubiła. Jego zachowanie powoduje odwrotny skutek, więc tym bardziej staje się dokuczliwy, bo pewnie nie bardzo wie jak zwrócić na siebie Twoją uwagę. Wstydzi się wprost okazać zainteresowanie Tobą, więc Cię atakuje. Porozmawiaj z nim, ale poza szkołą, gdyż w obecności kolegów na pewno będzie się nadal tak idiotycznie zachowywać. (es)

Sto wierszy o kulturze

Jest, ale go nie ma

„Polonistyka szkoły podstawowej, a nawet licealnej, często odpycha od dzieł Jana Kochanowskiego. Wizerunek poety układa się z trzech elementów: 1) cierpienia ojca po stracie ukochanej Orszulki (na pamięć wykuwane przez uczniów), 2) wesołości sobótkowego obyczaju (tu istnieje możliwość popisu recytatorsko-pejzażowego), 3) „Odprawy posłów greckich" (traktowanej jako odskocznia od lekcji historii). Linia między tymi trzema punktami, to karykaturalny, lecz niestety, powszechny obraz Kochanowskiego. Martwy, płaski, linearny. I jeszcze ku utrapieniu, rzecz miała się dawno, czterysta lat temu. Strasznie trudno rozbudzić wyobraźnię, aby zdolna była odczuwać tak odległą przeszłość, przeżyć ją i wczepić w przestrzeń współczesności. Oto zgryzoty nauczania. Więc ów Jan Kochanowski niby jest, ale tak naprawdę wcale go nie ma". (ze wstępu M. Grześczaka do „Poezji wybranych" Jana Kochanowskiego)

* * *

Na płycie nagrobnej kaplicy kościoła parafialnego w Zwoleniu, pod wytwornym marmurowym wizerunkiem Jana z Czarnolasu, widnieje napis, który Imć Pani Dorota Kochanowska w 25 lat po śmierci męża w języku łacińskim wyrzeźbić kazała: *„Jan Kochanowski, Wojski Sandomierski tu spoczywa. Aby uczony przechodzień nie minął bez uczczenia zwłok takiego męża, którego pamięć u ludzi wykształconych trwać będzie wiecznie, marmur ten postawiono".* Zdumiewające, że nawet własna żona nie uznała za stosowne nazwać go poetą! Prawdopodobnie dlatego, że nie był to w końcu żaden tytuł!

* * *

Szczęściem zrobili to współcześni mu i potomni, nazywając go za anonimowym poetą „kochaniem swego wieku", „ojcem poezji polskiej", „mistrzem czarnoleskiej rzeczy", „pierwszym wielkim lirykiem polskim i słowiańskim". Jego śmierć w upalne sierpniowe lato 1584 roku, gdy dotknięty apopleksją zakończył w Lublinie swe życie w wieku 54 lat, wywołała wielki smutek i poruszenie. *„Najsławniejszy poeto między poetami, Ty nigdy nie umrzesz, zawżdy jesteś z nami"* – zapewniał XVII-wieczny wierszopis Jan z Kijan – i miał rację! „Pieśni" i „Psalmy", „Treny" i „Fraszki", nieustannie obecne w literackiej tradycji i narodowej świadomości, zachwycały renesansowym humanizmem, uniwersalną metaforą, urodą języka, elegancją stylu. Cenili jego twórczość Mickiewicz, Słowacki i Norwid. Poetyckie natchnienie zawdzięczają mu Leśmian, Tuwim, Staff... Pisali o nim powieści Porazińska i Jastrun. I choć od śmierci poety mija właśnie 400 lat, wciąż przybywa nowych studiów i naukowych opracowań, powiększa się liczba badaczy twórczości Kochanowskiego oraz epoki w której żył.

* * *

W październiku 1978 roku *„Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dla upamiętnienia 450 rocznicy urodzin i 400 rocznicy śmierci znakomitego humanisty i wielkiego poety Jana Kochanowskiego, twórcy polskiego języka literackiego, świadom wielkiej roli sztuki poetyckiej poety dla rozwoju kultury narodowej i ogólnoludzkiej, postanawia zrealizować narodowe wydanie dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego, aby dostarczyć społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu naukowym i typograficznym wraz z nowoczesnym tłumaczeniem utworów łacińskich na język polski".* Przedsięwzięcie to, choć długoterminowe i pracochłonne, zyskało powszechne uznanie, albowiem pierwsze pełne, 4-tomowe wydanie dzieł poety – „Jana Kochanowskiego dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe" (tzw. warszawskie), ukazało się przed stu laty, w 300-lecie śmierci poety. Nowe, narodowe wydanie „Dzieł wszystkich" liczyć miało 12 tomów w 16 woluminach. Każdy egzemplarz, wydawany przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich, oprawny będzie w szarosrebrne płótno ze złotymi nadrukami na grzbietach i okładkach. Wydawca – niezależnie od 5-tysięcznej edycji naukowej, opatrzonej wstępem i szczegółowymi komentarzami – przygotowuje również 2-tomową popularną wersję „Dzieł" w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy. Zaplanowano, że ostatni tom ukaże się na rynku w 1984 roku, w 400-lecie śmierci poety. W pracach Komitetu Redakcyjnego „Dzieł wszystkich", którymi kieruje prof. dr Maria Renata Mayenowa z Instytutu Badań Literackich PAN, uczestniczą naukowcy z licznych ośrodków uniwersyteckich z całego kraju. W zespole, oprócz historyków literatury, pracują językoznawcy, filologowie klasyczni i muzykolog, albowiem „Psałterz Dawidów" zostanie wydany wraz z „Melodią na Psałterz Polski", ułożoną przez Mikołaja Gomółkę w 1580 roku.

* * *

O tym gigantycznym, naukowo-edytorskim przedsięwzięciu, pisaliśmy z radością przed czterema laty, w trakcie obchodów Roku Kochanowskiego. Niestety, rocznicowy fajerwerk minął, zaś nadchodzące po nim czasy i twarde realia życiowe bardzo prędko wykazały niewykonalność tego szlachetnego zamierzenia. Póki co, w połowie maja br. „Życie Warszawy" poinformowało, że pracownicy IBL przekazali na ręce marszałka Sejmu pierwsze cztery tomy „Dzieł wszystkich" Jana z Czarnolasu. Dlaczego dopiero cztery, skoro w bieżącym roku miały ukazać się na rynku ostatnie tomy Kochanowskiego? Dlatego, że m.in. Drukarnia Narodowa w Krakowie nie ma czym drukować i gdyby nie interwencja Sejmu, który dopomógł w zakupie matryc za dewizy, nie ukazałyby się nawet te cztery pierwsze! Co będzie dalej? Prof. Mayenowa obawia się, że jeśli poligrafia nadal będzie się borykać ze swoimi kłopotami, to kolejne tomy ukażą się nie wcześniej jak dopiero za dwa lata. A kiedy będzie koniec edycji – nie wiadomo! Mam nadzieję, że do tego jednak nie dojdzie. Wiceminister kultury i sztuki obiecał pomoc w sprawnej realizacji uchwały sejmowej, a co za tym idzie – niezbędne finansowe wsparcie z Funduszu Rozwoju Kultury. W przeciwnym wypadku – o wstydzie! – rozpoczętą przez naszych naukowców pracę będzie musiało dokończyć następne pokolenie... **(tem)**

Przemysł czterdziestolecia 11

1944–1984

prezentuje KRZYSZTOF GUTORSKI

ELEKTRONIKA – KLUCZEM DO PRZYSZŁOŚCI

SILNIKI, RADIA, TELEWIZORY

Przemysł elekrotechniczny i elektroniczny rozwinął się całkiem niedawno, skupiając się przede wszystkim w Warszawie i większych miastach. Do najważniejszych dziedzin przemysłu elektrotechnicznego należy produkcja generatorów prądu oraz silników elektrycznych; największe wytwórnie znajdują się we Wrocławiu, Cieszynie, Bielsku-Białej, Żychlinie, Poniatowej, Brzegu, Tarnowie, Sosnowcu.

Produkcja transformatorów oraz aparatury dla elektrycznej trakcji kolejowej skupia się w łódzkiej „Eltrze" i Żychlinie koło Kutna. Aparaturę rozdzielczą i inną niskiego napięcia wytwarzają zakłady w Toruniu i Przemyślu, wysokiego napięcia – w Warszawie. Sprzęt instalacyjny produkuje się w Czechowicach, Szczecinku, Wierbce, Gostyninie i innych mniejszych zakładach. Żarówki wszelkiego typu powstają w Pile, Pabianicach, Katowicach, Kożuchowie.

Niezbędna dla tego przemysłu produkcja kabli i przewodów odbywa się przede wszystkim w Bydgoszczy, Krakowie, Ożarowie, Szczecinie, Legnicy. Wreszcie aparaturę elektryczną wytwarzają zakłady w Łodzi, Ząbkowicach, Świdnicy. Duża część produkcji tego przemysłu jest eksportowana.

Do 1955 r. jedynym produktem przemysłu elektronicznego były odbiorniki radiowe, wytwarzane od 1947 r. na licencji szwedzkiej w Dzierżoniowie. W 1948 r. ruszyła produkcja polskiego „Pioniera", w 1955 r. – telewizorów, w 1977 r. telewizorów kolorowych, w 1958 r. elementów półprzewodnikowych.

Obecnie przemysł elektroniczny i teletechniczny produkuje sprzęt telekomunikacyjny, radiotechniczny, telewizory, magnetofony, lampy, półprzewodniki i obwody scalone, aparaturę pomiarową itd. Poza Warszawą, głównym ośrodkiem tego przemysłu są zakłady wytwórcze we Wrocławiu, Gdańsku, Tychach, Koszalinie, Szydłowcu. Wyroby teletechniczne znajdują się w Bydgoszczy, Poznaniu, Krakowie, w Radomiu – gdzie wytwarza się również aparaty telefoniczne. Aparaty radiowe produkuje się w Dzierżoniowie, Bydgoszczy i Gdańsku, odbiorniki telewizyjne w Warszawie i Gdańsku, gramofony w łódzkiej „Tonice", głośniki w „Tonsilu" we Wrześni, podzespoły radiowe w Gniewie i Kutnie, prostowniki w Bielawie.

Tranzystory są wykorzystywane do produkcji komputerów i aparatury kontrolno-pomiarowej.

Duża część wyrobów przemysłu elektrotechnicznego, elektronicznego i telekomunikacyjnego jest przeznaczona na eksport, wymaga także dużego importu podzespołów, układów scalonych, materiałów.

Należy zauważyć, że produkcja aparatów radiowych czy telewizyjnych, aparatury elektrycznej, a nawet kabli czy przewodów nie jest możliwa bez udziału wyrobów chemicznych – tworzyw sztucznych na obudowy i części, gumy i materiałów izolacyjnych, odczynników wysokiej czystości, krzemu itd. Zapominanie o tym powoduje uzależnienie produkcji od importu...

Współczesne telewizory kolorowe montowane są z podzespołów, które często wsuwane są do skrzynki niby pionowe szuflady. W razie awarii wymienia się cały podzespół, a dopiero potem naprawia źle działający. Na fot. – montaż odbiornika TV „Jowisz". Fot. **W. Wróblewski**

Oczekiwania a możliwości

Mowa oczywiście o telefonach. Minister łączności, prof. dr Władysław Majewski w wywiadzie ze stycznia 1984 mówił o trudnej drodze do telefonu, który nie jest przecież aż takim dobrem luksusowym, za jaki go wielu uważa.

W latach 1970–1980 wiele zrobiono: rozbudowano przemysł teleelektroniczny, podwojono potencjał z 1 mln abonentów telefonicznych w 1970 do przeszło 2 mln po 1980 r., a w 1983 r. po raz pierwszy zainstalowano w ciągu roku 105 tys. telefonów. Telefonia jest bardzo dochodowa, ale przedsiębiorstwo „Polska Poczta, Telegraf, Telefon" jest wyłączone z ustawy o przedsiębiorstwie państwowym – jest samofinansujące się, ale nie samodzielne i samorządne.

W produkcji central telefonicznych są trudności z importowanymi podzespołami elektronicznymi (brak dewiz), brak jest nowych budynków central, produkcja kabli nie nadąża za potrzebami.

Chociaż produkujemy centrale telefoniczne dość przestarzałe, o małej pojemności, to jednak jesteśmy jedynymi producentami central elektronicznych w bloku RWPG.

A co z możliwościami otrzymania telefonu? Z programu, opracowanego w ministerstwie wynika, że w latach 1986–90 przybędzie 650 tys. nowych numerów, w latach 1991–96 dalsze 800 tysięcy. Żeby tylko byli wykonawcy i materiały...

Rozwój selektywny czy równomierny niedorozwój?

Okazuje się, że „luka technologiczna" między nami, a krajami przodującymi rośnie z każdą chwilą, że najważniejszą dziedziną decydującą o postępie technicznym jest elektronika. Zostawmy więc doniesienia prasowe na temat polskich aparatów radiowych i telewizyjnych, nie zajmujmy się pytaniem, czy telewizor kolorowy jest kwiatkiem do kożucha, lecz przyjrzyjmy się dyskusji na temat elektroniki, jaka rozgorzała na łamach prasy fachowej, społeczno-politycznej i codziennej już w 1982 r.

Same tytuły artykułów mówią, jak drażliwy to temat: *„W pogoni za elektronicznym zającem", „Mity na układach scalonych", „Gdzie jesteś polska elektroniko?", „Mikroprocesor nie zwolni od myślenia"* – i wiele innych, podobnych.

Na co w tej dyskusji zwracano uwagę? Otóż szczególnie na to, że jesteśmy dopiero w początkowym stadium rozwoju elektroniki, a już nie można wyobrazić sobie świata bez niej. Dzięki niej pojazdy kosmiczne precyzyjnie lądują na Księżycu i Wenus, ona pozwala modelować i sterować złożonymi procesami technicznymi, pozwala zautomatyzować całe linie technologiczne, zastępuje człowieka w wykonywaniu wielu żmudnych zajęć umysłowych, pozwala na miniaturyzację radioodbiorników i na coraz doskonalszy odbiór obrazów telewizyjnych. Mikroelektroniczne sterowniki pozwalają na uzyskiwanie oszczędności paliwa w silnikach samochodowych, zwiększają wydajność procesów chemicznych. Elektronika stworzyła drugą erę przemysłową – według przewidywań do 1990 r. wyprodukuje się inteligentne roboty oraz komputery do projektowania, a fabryki samych układów scalonych i mikroprocesorów będą obsługiwane przez roboty, pracujące idealnie bez ingerencji ludzkiej...

Został już sformułowany program elektronizacji gospodarki narodowej, została podjęta uchwała Rady Ministrów. Ale... przeżyliśmy już jeden program, którego realizacja była dla jednych cudem gospodarczym, dla innych tylko jednorazowym zastrzykiem nowej techniki, opłaconym niewspółmiernie do wyników. Utknęliśmy na martwym punkcie, kiedy nie stało materiałów i podzespołów, których nie potrafimy nadal wytwarzać, bo nasza gospodarka nie może dostarczyć komponentów, a same technologie też są słabo znane.

Póki co, polski mikroprocesor – Mistrz Techniki 1983 – kosztuje prawie 10 razy więcej niż czarnorynkowa cena odpowiednika, sprowadzanego z Zachodu.

Potrafimy więc wytwarzać tyrystory, tranzystory, obwody scalone – a przecież do dziś nie znalazły one powszechnego zastosowania w naszym przemyśle i życiu.

A mamy więcej naukowców w dziedzinie elektroniki, niż Tajwan i Korea Płd razem wzięte, tyle że znajdujemy się o przynajmniej 12 lat za nimi w poziomie rozwiązań...

Gospodarce narodowej potrzebna jest elektronika do prawidłowego rozwoju i oszczędnego zużycia energii, surowców i materiałów. Nie można jednak robić wszystkiego naraz, stąd celowy jest rozwój selektywny, a nie równomierny niedorozwój.

Czy wiesz, że...

- Baterię elektryczną wynalazł w 1800 r. Włoch Aleksander Volta; Dzisiejsze bateryjki niewiele się różnią od pierwowzoru.
- Pierwsza linia telegrafu elektrycznego została zbudowana między Waszyngtonem i Baltimoore w 1844 r., oczywiście wynalazcą był Samuel Morse.
- Akumulator elektryczny – to wynalazek Francuza Gastona Plante'a z 1859 r.
- Telefon jest dziełem Amerykanina Aleksandra Bella (1876)
- Tomasz Edison wynalazł m. in. żarówkę elektryczną w 1879 r., a fonograf w 1887 r.
- Radio powstało w 1896 r. wynalezione przez Włocha Wilhelma Marconiego i niezależnie od niego Rosjanina Aleksandra Popowa
- Twórcą telewizji był Anglik Jan Baird w 1926 r., przy czym stały program telewizyjny sprawiła sobie Anglia w 1936 r.
- Tranzystor jest dziełem Amerykanów Jana Bardeena i Waltera Brattaina (1948), laser – T. Maimana (1960)
- Amerykanin polskiego pochodzenia Stefan Woźniak uruchomił w 1977 r. produkcję mikrokomputerów domowych „Jabłuszko" (Apple) – w ciągu 4 lat sprzedano ich 700 tys. szt. po prawie 2 tys. dolarów; głównym konkurentem firmy Apple jest firma Commodore, założona przez... Polaka, P. Tramiela.

WŁODZIMIERZ PUCHALSKI ma następców w warszawskim MDK na Łazienkowskiej!

NIC, TYLKO TE ŻABY!

Śmieją się z nich wszędzie. W domu: u ciebie nic, tylko ciągle te żaby! W szkole: wzruszenie ramion, chichoty. Kiedy o tym wszystkim słyszę, przypomina mi się Włodzimierz Puchalski, wielki mistrz i nauczyciel prawie wszystkich działających dziś u nas fotografów przyrody. Jak to Go nazywali ludzie? Ano – „Żabiarz", ponadto: „Fudograf" i „Bzik". Słowem – uważali za kogoś nie całkiem twardo stąpającego po ziemi. Jak się okazuje – tak w czasach Puchalskiego, jak i dziś ludzie nie potrafią serio traktować człowieka, który np. powiada, że:

„Żaby należą do moich ulubionych aktorów. Łatwo dają się fotografować. Nie trzeba ich szukać, budować ukryć czy drapać się na drzewa. Można spokojnie, dokładnie ustawić aparat i robić zdjęcia do woli. (...) Nieraz trzeba po prostu podwinąć spodnie, wejść do wody i mieć nadzieję, że nie odpłyną za daleko. Nieco trudniej jest fotografować żaby w wodzie – pływające. Wtedy najlepiej jest ich szukać w wąskich rowach czy kanałach, względnie tuż przy brzegu. Konieczny jest przy tym teleobiektyw, gdyż nie można do żaby blisko podejść. Najdrobniejszy ruch ją spłoszy. Odpłynie wtedy dalej bądź zanurkuje i stracimy aktora..."

Kto to pisał? Puchalski? Nie, więc kto? – zaraz wyjaśnimy...

TRAPERZY Z GOCŁAWSKICH ŁĄK

Poznałem ich w połowie kwietnia, podczas otwarcia wystawy pt. „Przyroda w obiektywie". Wystawa odbyła się w sali MDK na Starym Mieście w Warszawie, przy ul. Świętojańskiej 2. Gdy tam wszedłem, od razu przypomniał mi się Puchalski: te zbliżenia i portrety żab, gadów; ptasie pisklęta, podnoszące ku górze szyjki, krajobrazy... Porozwieszane na ścianie odbitki formatu 30×40 prezentowały zaskakująco dobry poziom techniczny. No, tu i ówdzie można się było dopatrzeć jakichś braków: a to zbyt białego, „surowego" kawałka tła, który należało dłużej naświetlić pod powiększalnikiem, a to lekkiej nieostrości motywu. Mimo to wchodząc na salę doznałem swego rodzaju olśnienia: że też młodzi ludzie z 2–3-letnim najwyżej fotograficznym stażem mogą robić już tak dobre zdjęcia!

A to dopiero druga wystawa, zorganizowana przez Młodzieżowy Dom Kultury przy ul. Łazienkowskiej...

Pierwsza odbyła się w galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Plastycznych przy ul. Rutkowskiego. 160 prac, tematyka – rozmaita. To był pierwszy owoc działalności sekcji fotograficznej przy MDK z ul. Łazienkowskiej. Sekcji kierowanej przez panią **Annę Wegner** – bardzo wymagającą instruktorkę.

Wiedząc, że technika bywa piętą achillesową młodych fotografów, p. Wegner urządziła kurs prezentujący podstawy fotograficznego rzemiosła. W tym też czasie działalnością sekcji zainteresowała się nasza gazeta (nr 4 „ŚM" z 1984 r.), podając przy okazji wiadomość o kursie.

Tomek Stanisławski miał akurat zapakować książkę w gazetę, do czego – nie ukrywajmy! – użył akurat „Świata Młodych". Zobaczył ogłoszenie. Skończył kurs. Na wystawie „Przyroda w obiektywie" mógł już pokazać pierwsze, udane prace. Na razie fotografuje swego psa... Ale są tu i tacy, którzy wyruszają już z obiektywami na prawdziwego – choć drobnego – dzikiego zwierza.

Robert Dejtrowski (III kl. LO, aparat Practica) i Dariusz Kowalczyk (III kl. LO, Zenit TTL), od lat dwójka nierozłącznych współpracowników mają swoje ulubione żabie i ptasie uroczysko. I to gdzie!

„Gocławskie łąki położone są między ulicami: Ostrobramską, Płowiecką i Traktem Lubelskim.

Gocław to miejsce olbrzymich kontrastów. Tu można siedząc na balkonie, na którymś tam piętrze usłyszeć i zobaczyć skowronka wyśpiewującego swą wiosenną pieśń. Tu, zasypiając przy otwartym oknie, wsłuchiwać się można w żabie koncerty. Tu na skraju wielkiego osiedla, obok ruchliwych ulic spacerują kuropatwy, czajki, bażanty, a nawet derkacze. Gdy odejdziemy kilkaset metrów od osiedla, znajdziemy się nagle w innym świecie. Obok nas roztoczą się podmokłe łąki, zaszumią szuwary, drzewa, rozśpiewają się ptaki. Gdyby nie to, iż między drzewami prześwitują wieżowce i słychać z daleka szum wielkiego miasta, zdawałoby się, że za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przenieśliśmy się nagle w ostępy nie skażonej przyrody".

Pierwsza klubowa wystawa, o której pisaliśmy w styczniu, obok ciepłych słów spotka się też z głosami krytyki. Zarzucono jej „wszystkoizm", brak konkretnego tematu. Toteż, organizując następną, p. Wegner postanowiła zaproponować jeden temat.

PRZYRODA NARZUCAŁA SIĘ SAMA

– a to za sprawą Roberta i Dariusza, którzy działając w sekcji, pokazali się jako zdecydowani zwolennicy tej tematyki. W ciągu czterech lat swej pracy dorobili się wielu zdjęć.

– Pokazali przyrodę żywo i prawdziwie, bez upiększeń – mówi pani Wegner.

Dariusz – spokojny, raczej małomówny, robi na mnie wrażenie człowieka, który najchętniej wypowiadałby się właśnie za pomocą obiektywu. On robi najwięcej zdjęć i osiąga najlepszy poziom techniczny, chociaż posiada tańszy aparat, Zenita, zaś Robert Practicę. Ale obaj zgodnie twierdzą, że oba aparaty są równie przydatne, a ich możliwości identyczne. Robert, choć i z niego niezły fotograf, nieco więcej uwagi poświęca... pisaniu.

Napisał... całą książkę o ich wspólnych, fotograficznych przygodach. Zaczął w kwietniu ub. roku, skończył w październiku. Wyszło ok. 50 stron maszynopisu, bogato ilustrowanych zdjęciami.

Robert myśli o studiach na biologii lub leśnictwie, Dariusz – podobnie. Profesjonalne uprawianie fotografii na razie nie chodzi im po głowie. Ale przecież to sobie a muzom napisane dziełko Roberta stanowi – jak myślę –

WIĘCEJ NIŻ PRYWATNY PAMIĘTNIK

Mamy tu dokumentację zmian, jakie zachodzą w podmiejskiej przyrodzie. Na końcu książki zamieszczona jest lista gatunków: 89 ptaków, 7 płazów, 6 ssaków. Najciekawszy gatunek – to niewątpliwie... orzeł bielik. Nawet i tu, pilnie obserwując, można więc wiele odkryć.

„Znaleźliśmy zimorodka na gocławskich łąkach. Potwierdziła się zasada, że nie warto nic szukać daleko, bo często to samo znaleźć można bardzo blisko..." Ile to razy przedstawialiśmy tę właśnie myśl w „Świecie Młodych"!

Ale, co najważniejsze, nasi dwaj traperzy są pilnymi obserwatorami wszelkich zakłóceń w tutejszej przyrodzie...

Ze smutkiem przyglądamy się jezioru. Do niedawna było to nasze królestwo. Teraz zajechały tu spychacze. Rozryły całą okolicę. Zlikwidowały liczne małe zatoczki i półwyspy – ulubione miejsca żab. Wyrównały brzeg, formując go na kształt równomiernego owalu. Ciekawe, ile mieszkających tu płazów poniosło śmierć pod zwałami przepychanej ziemi, pod gąsienicami ciągników. Jakże zmieniło się oblicze Awilandu przez cztery lata obserwacji. Kiedy pierwszy raz tu przyszedłem – wokół rozciągały się tylko rozległe pola. Dopiero z pół kilometra dalej zaczynano budować domy. Brzegi pełne były rozmaitego ptactwa – kaczek, mew, czajek, sieweczek czy białorzytek. Dlatego też zakątek ten nazwaliśmy Awilandem – Ptasim Krajem. Teraz osiedle dochodzi niemal do samych brzegów. Ptaków prawie już tu nie ma. Ostatnią sieweczkę spotkałem tu może ze dwa lata temu. W tym roku prawie już nie było skowronków. Żaby też zaczynają się wynosić. Miejsca, w których robiliśmy wiosną ich zdjęcia, już nie istnieją. Zostały zawalone ziemią czy też zalane wodą. Być może w następnym roku Awiland stanie się parkową sadzawką. Zabetonują brzeg, postawią ławeczki..."

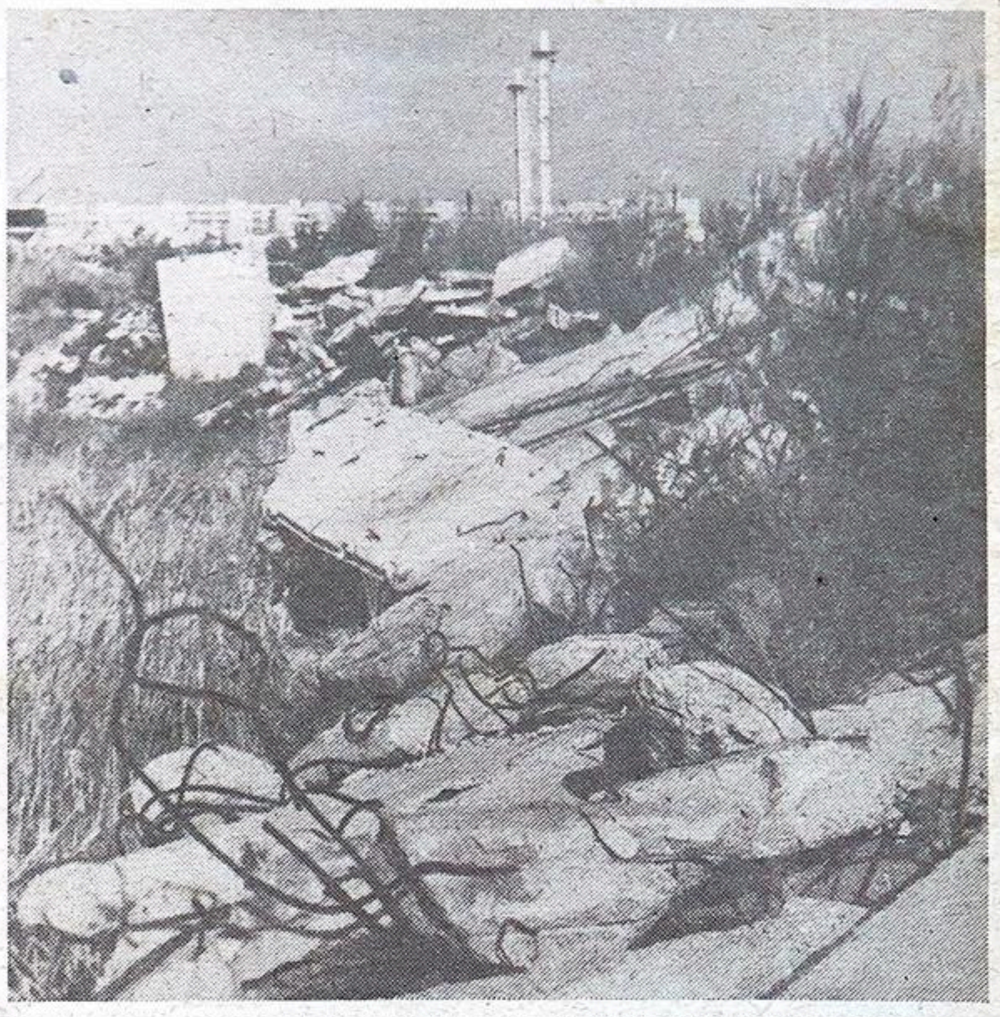

Obok w miarę naturalnych krajobrazów coraz częściej trafiają na iście księżycowe

To dokumentowanie przyrodniczej rzeczywistości ulubionego terenu nie przychodzi im łatwo. Pędzą ich właściciele prywatnych działek i zagonów, bywa, że i psami poszczują. Teraz zjawia się nowa trudność: wydane właśnie przepisy o ochronie zwierząt, zabraniające fotografowania ich w porze rozrodu i wychowu młodych. A tym się przecież nasi bohaterowie dotąd zajmowali.

Pani Wegner widzi plusy tych przepisów: przecież – mówi – fotografowie, chcąc nie chcąc, wprowadzą spory niepokój w życie swych aktorów. Na to oponuje pan Elżanowski, instruktor z MDK w Radomiu, który zainteresowany działalnością sekcji, przyjechał wraz z grupą swych podopiecznych na otwarcie wystawy. – Wszakże – powiada – fotografowie przyrody stają się szybko wrażliwymi jej obserwatorami i obrońcami, dążąc do tego, by skrzydlaci czy czworonożni aktorzy mieli się jak najlepiej, co wynagradza ewentualne straty, związane z ich niepokojeniem.

Zgadzam się z panem Elżanowskim. Myślę, że jednak autorzy nowych przepisów nieco przesadzili...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Zdjęcia fauny – **Dariusz Kowalczyk**

Zdjęcie krajobrazu – **Robert Dejtrowski**

Pora godów w przyrodzie to ulubiony okres naszych fotografów

Ich „Awiland" – Ptasi Kraj był też żabim krajem. Jest to sztuczne jeziorko, jakie kilka lat temu powstało w wykopie

APN specjalnie dla „Świata Młodych"

DZIECIĘCY „KOSMODROM"

Do startu rakiety kosmicznej pozostała minuta. Wszystkie systemy pracują normalnie. Włączono aparaturę lokacyjnej obserwacji Ziemi. Zegar elektronowy odlicza ostatnie sekundy: trzy... dwa... jeden... Start!

Zdarzenie to mogłem obserwować na kosmodromie o powierzchni trzech metrów kwadratowych. Ów mini kosmodrom, który został wykonany przez uczniów z klubu modelarstwa kosmicznego w Puszkinie, zademonstrowano na Moskiewskiej Wystawie Osiągnięć Gospodarki Narodowej ZSRR. W pawilonie „Młodzi przyrodnicy i technicy" zebrano ponad sto wyrobów skonstruowanych przez dzieci: od prościutkich mechanicznych zajączków i niedźwiadków do skomplikowanych elektronicznych urządzeń muzycznych i ruchomych modeli statków kosmicznych.

Radzieckie dzieci swoje talenty techniczne i artystyczne mogą rozwijać w tysiącach klubów i kół zainteresowań, zorganizowanych w przyzakładowych instytucjach kulturalnych, w szkołach i pałacach pionierów. Na zajęcia klubów młodych techników i przyrodników oraz kół plastycznych, uczęszcza co piąty radziecki uczeń.

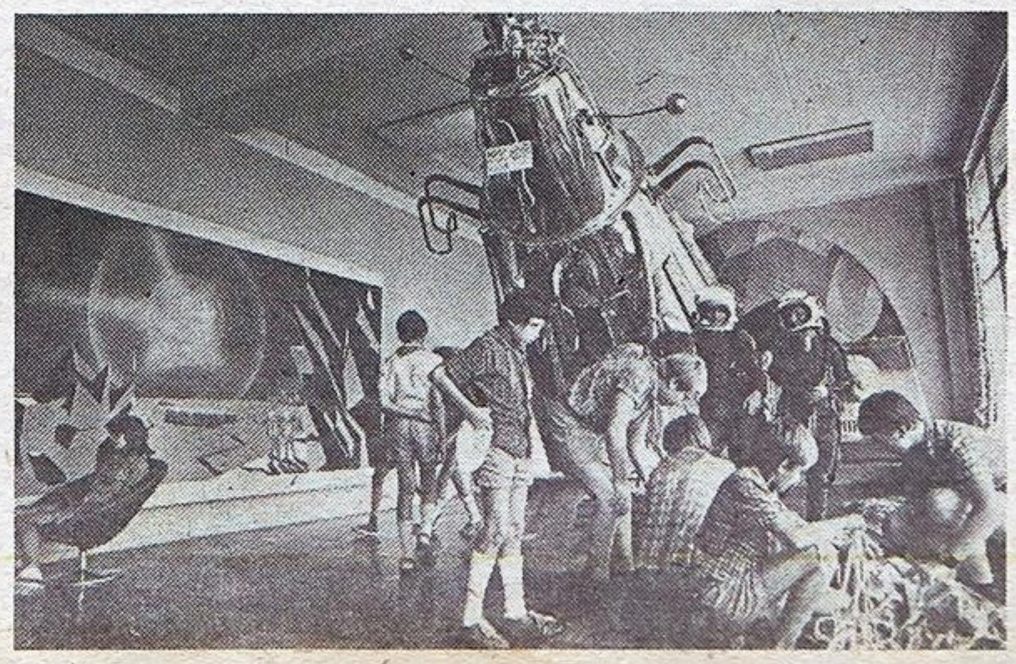

Niedawno odwiedziłem Ufę, stolicę Baszkirskiej Republiki Autonomicznej. Przy tamtejszej fabryce silników działają 33 młodzieżowe koła zainteresowań. Każde dziecko może sobie wybrać swoje ulubione zajęcie. Jednych pasjonuje automobilizm, modele samolotów i okrętów czy radioamatorstwo, a innych z kolei ceramika, metaloplastyka, mozaika, rzeźba lub gospodarstwo domo-

CIĄG DALSZY NA STR. 7

II Harcerskie Spotkania Kulturalne' 84

BEZ PATOSU ZA TO Z HUMOREM

Takie właśnie były tegoroczne Harcerskie Spotkania Kulturalne, zorganizowane przez Komendę Sieradzkiej Chorągwi ZHP im. Bohaterów Walk nad Wartą 1939. Przez dwa kolejne dni kwietnia na scenie Teatru Miejskiego w Sieradzu rozbrzmiewał śpiew i muzyka. Pierwszego dnia występowały zuchy. Były więc piosenki i pląsy, których wykonawcy w przeciwieństwie do starszych – zupełnie nie mieli tremy. Nazajutrz, przed kilkusetosobową widownią popisywały się zespoły harcerskie i starszoharcerskie. Podobnie jak poprzedniego dnia dominowała piosenka, nie tylko harcerska, ale i żołnierska, rajdowa i poetycka. Zdaniem komisarza HSK – hm Marka Głucha – cel Spotkań został osiągnięty. Po doświadczeniach z Festiwalu Piosenki Harcerskiej, niegdyś organizowanego przez Sieradzką Chorągiew ZHP, zdecydowano się rozszerzyć formułę imprezy o teatrzyki, kabarety i taniec.

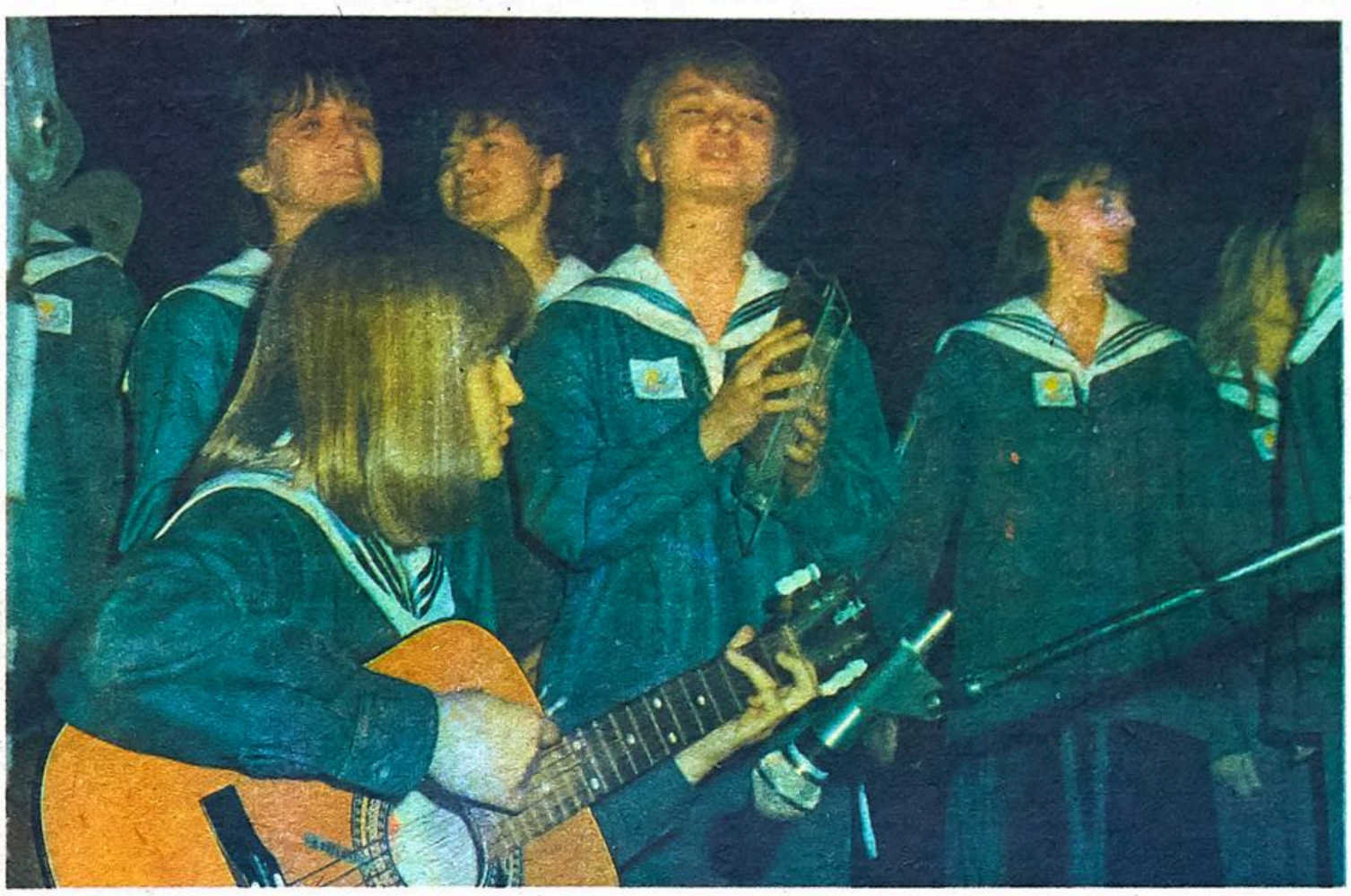

Jednym z ciekawszych był teatrzyk z Niemojewa, który przedstawił bajkę „O krasnoludkach i sierotce Marysi". Nie mniej interesującym przedstawieniem były „Przygody Burka z podwórka", wystawione przez 48 Drużynę Starszoharcerską Artystyczną z Liceum Sztuk Plastycznych w Zduńskiej Woli. Dodatkowym walorem tego spektaklu były własnoręcznie zaprojektowane i wykonane kukiełki, wyjątkowo oryginalne i estetyczne.

Znakomicie zaprezentował się również zespół z Leźnicy Wielkiej. Druhowie z drużyny im. Ludowego Lotnictwa Polskiego, przygotowali program poetycki pn. „Skrzydła nad Polską".

Wprawdzie repertuar nie był doskonały, to jednak maraton nie nużył, mimo iż trwał w sumie kilkanaście godzin. Dla uczestniczących w Spotkaniach zespołów były one dużym przeżyciem, a i widzowie, wśród których znaleźli się z-ca Naczelnika ZHP hm PL Krzysztof Piotrowicz oraz I sekretarz KW PZPR w Sieradzu, Janusz Urbaniak, wydawali się być zadowoleni z postępu, jaki na przestrzeni kilku lat dokonał się w harcerskiej kulturze. Wyrazem tego były wspólnie przez wykonawców i widownię śpiewane piosenki, bo na HSK w Sieradzu sceniczna rampa była tylko umowną granicą oddzielającą artystów od publiczności. **(kk)**

Fot. **Zbigniew Bisanz**

Staruszki bez godności

„Życie Warszawy" przypomniało niedawno, że dżinsy mają 111 lat. Ojcem kariery tych znakomitych (przyznajemy!) spodni był emigrant z Francji, Levi Strauss. Źródła amerykańskie twierdzą, że Levi Strauss był Bawarczykiem, ale ostatecznie – nieważne skąd pochodził – ważne, że miał dobry pomysł.

Levi Strauss w połowie ubiegłego wieku ruszył z Nowego Jorku na Zachód z workiem narzędzi i zapasem płótna namiotowego. Miał pono parać się szyciem pokryć na wozy traperów. Być może interes nie szedł po jego myśli bo jak wieść niesie, płótno zostało zużyte na obcisłe spodnie dla górników. Potem Levi Strauss opatentował pomysł wzmacniania kieszeni nitami, a brunatne płótno zastąpił granatowym denimem, czyli uszlachetnionym drelichem (jak twierdzą znawcy, z takiego płótna szyte były żagle statków Krzysztofa Kolumba) i w 1883 roku zarzucił rynek amerykański stebnowanymi spodniami o 5 kieszeniach. Proste nogawki spinane były u dołu. I to były już dżinsy. Rozchwytywali je farmerzy i dokerzy – bo dżinsy to spodnie dla ludzi ciężko pracujących. Aż do II wojny światowej dżinsy były zabronione w szkołach, wyższych uczelniach i biurach w Ameryce.

Kryzys powojenny otworzył drogę dżinsom – opanowały te płócienne portki wszystkie kraje i wszystkie stany. Nie wstydzą się dżinsów siwowłosi dyplomaci ani zażywne panie w średnim wieku, nie mówiąc o każdym z nas – po prostu lubimy dżinsy! Mimo że takie stare! **(wk)**

A teraz Praga!

Pewne zwycięstwo

Stadion „Sparty" w Szamotułach. Upał trudny do zniesienia. Na dość sypkiej, żwirowej bieżni stają w startowych blokach kandydaci do międzynarodowego finału lekkoatletycznego czwórboju w Pradze. Są to chłopcy z Dusznik Wielkopolskich (Zbiorcza Szkoła Gminna), z Kłodzka (szkoła nr 7), z Kluczborka (szkoła nr 3) i z Płocka (szkoła nr 10). Nie wiadomo dlaczego, mimo potwierdzonego zgłoszenia, na imprezę nie przybyli reprezentanci Zgierza i Gniewkowa, którzy także wywalczyli sobie prawo do udziału w szamotulskich eliminacjach. Tak więc do ostatecznej rozgrywki przystępują zaledwie cztery zespoły...

Zawody, jak zwykle, rozpoczyna sprint na 60 m. Gorące powietrze i wspomniana już nawierzchnia nie wróżą wielu znakomitych rezultatów. Najlepszy wynik osiąga **Sebastian Szade** z Dusznik, który ma czas 7,7 sek. **Darek Walczak** z Płocka jest gorszy od niego tylko o 0,2 sek. Pozostali czwórboiści, niestety, nie „schodzą" poniżej 8 sek. Trzeba szczerze przyznać, że nawet w takich warunkach spodziewaliśmy się znacznie wartościowszych rezultatów. Przecież do Szamotuł zjechała krajowa czołówka; w poprzednich latach mieliśmy więcej powodów do zadowolenia. Niemniej jednak i obecnie trwa zacięta rywalizacja. Po pierwszej konkurencji na czoło drużynowej klasyfikacji wysuwają się chłopcy z Dusznik.

Skok wzwyż kończy się w zasadzie remisem. Tu również poza rezultatem **Wojtka Mroza** z Kluczborka, który pokonał poprzeczkę leżącą na wysokości 172 cm, nie możemy odnotować znaczących wyników.

Jest to potwierdzenie, że najwyższa pora, aby zmienić czwórbojową punktację. Skok wzwyż jest najtrudniejszą z technicznych konkurencji, a zatem należy go dobrze punktować, Mając do wyboru (tylko we wcześniejszych eliminacjach) skok wzwyż lub w dal, większość zespołów wybiera ten łatwiejszy, czyli drugi. W krajowym finale (i międzynarodowym) tego wyboru już nie ma. Naszym zawodnikom z trudem przychodzi nagłe przestawienie się na inną konkurencję i stąd słabe wyniki oraz fatalny sposób atakowania poprzeczki. Właściwie, poza Wojtkiem, żaden ze startujących w Szamotułach czwórboistów nie potrafił prawidłowo wykonać tzw. flopu. Uwagi te kierujemy pod adresem Zarządu Głównego SZS, który możliwie szybko powinien dokonać poprawek w punktowych tabelach. W przeciwnym razie nie możemy nawet marzyć o przyzwoitych występach w gronie międzynarodowej elity.

Wrzucie piłeczką jeszcze raz daje o sobie znać Wojtek Mróz. Dość łatwo ogrywa konkurentów – 82,32 m. Ten wynik przesądza chyba o jego ostatecznym zwycięstwie indywidualnym. Drugi jest **Artur Konopka** z Kłodzka – 75,96 m, trzeci **Sebastian Zieliński** z Dusznik – 71,88 m.

Wreszcie ostatnia konkurencja – bieg na 800 m. Zachodzi obawa, że ze względu na upał i wyczerpanie dotychczasowymi startami zawodnicy pokonają ten dystans w spacerowym tempie. Nic z tego! Zdumiewają zwłaszcza przedstawiciele Dusznik, a głównie **Michał Bartoszak**, który po niezwykle pasjonującym finiszu osiąga czas 2.12,3 min.

Dzięki temu ostatniemu występowi chłopcy z Dusznik zdecydowanie wygrywają w klasyfikacji drużynowej. Będą więc reprezentować nasz kraj w finale międzynarodowym, który odbędzie się na początku sierpnia w stolicy Czechosłowacji. Do Pragi wyjedzie też **Wojtek Mróz** z Kluczborka (lider klasyfikacji indywidualnej – 374 pkt.). Trzy lata temu w Arteku (ZSRR) startował jego brat Radek i należał tam do najlepszych zawodników. Czy Wojtek powtórzy wyczyn brata? Na razie gratulujemy mu ostatniego sukcesu. Ale na szczególne słowa uznania zasłużyli czwórboiści z Dusznik: **Sebastian Szade, Sebastian Zieliński, Andrzej Niegdewski, Michał Bartoszak, Wojciech Pietrzak i Darek Ratajczak** oraz ich opiekun, pan **Krzysztof Pluciński**. Życzymy im udanych występów na terenie naszych południowych sąsiadów.

Oto ostateczna punktacja zawodów: ZSG Duszniki – 1632 pkt., SP-10, Płock – 1472, SP-7 Kłodzko – 1465, SP-3, Kluczbork – 1443. Wszystkim drużynom dziękujemy za ambitną walkę i do zobaczenia za rok.

Dziękujemy też organizatorom imprezy (Zarządowi Miejsko-Gminnemu SZS, Ośrodkowi Sportu i Rekreacji oraz Dyrekcji i Gronu Pedagogicznemu Zespołu Szkół Ogólnokształcących) za niezwykle gościnne przyjęcie czwórboistów, za wzorowe przygotowanie i przeprowadzenie zawodów.

Tekst i zdjęcie: **Z.P.**

P.S. Zawodników i trenerów przepraszamy za brak zdjęć z opisywanej imprezy. Pech, chciał, że w trakcie fotografowania nastąpiła awaria aparatu.

Bieżący magazyn poświęcam autokarom. Mogłem go zrealizować dzięki uprzejmości **Marka Eliasa** [redacted] który dostarczył mi katalog zachodnioniemieckiej firmy DRÖGMÖLLER specjalizującej się w wytwarzaniu tego rodzaju pojazdów.

Wielu z nas autokar kojarzy z autobusem, ten fakt potwierdza wygląd zewnętrzny, gdyż na pierwszy rzut oka obydwa pojazdy są do siebie bardzo podobne. Lecz autokar jest pojazdem o specjalnym wykończeniu i nieco odmiennych cechach konstrukcyjnych, z których najważniejszą jest ta, że we wnętrzu znajdują się dwa lub trzy poziomy. Jeden z poziomów przeznaczony jest do przewozu bagaży, a w bardziej luksusowych autokarach tworzy się jeszcze dodatkowy poziom, w którym lokalizuje się zaplecze socjalno-gospodarcze (kuchnie, umywalnie a nawet sanitariaty).

Wszystkie autokary marki DRÖGMÖLLER produkowane są w oparciu o zespoły podwoziowe i silniki wytwarzane przez znaną firmę samochodową Mercedes-Benz. W zależności od wielkości i przeznaczenia autokary z marką DRÖGMÖLLER mogą być wyposażone w wysokoprężne silniki 6- lub 8-cylindrowe, o pojemnościach 10 960 lub 14 620 cm sześc., i mocy 159 lub 206 kW, silnik 8-cylindrowy może być zaopatrzony w turbosprężarkę i wówczas osiąga moc 243 kW.

Silnik w autokarze umieszczony jest z tyłu, a napęd od niego przenoszony na tylne koła. Przenoszenie napędu odbywa się za pośrednictwem 6- lub 8-przekładniowej skrzyni biegów.

Koła pojazdu zawieszone są niezależnie, resorowanie ich odbywa się za pomocą mechanizmów układu pneumatycznego.

Przy kołach znajdują się hamulce bębnowe uruchamiane układem pneumatycznym. Do wyhamowywania pojazdu może być wciągnięty również silnik napędowy.

Na ilustracji 1 pokazany został autokar DRÖGMÖLLER z serii E 420, w którym przedział osobowy umieszczony jest na pierwszym piętrze, może w nim podróżować 51–63 osób. W poziomie dolnym znajduje się przedział bagażowy, kuchnia, szatnia – pojemność tego przedziału wynosi 14 m sześc. Autokar ma długość 12 m, a wysokość jego wynosi 3,7 m, wyposażony jest w 8-cylindrowy silnik z turbodoładowaniem.

Ilustracja nr 2 przedstawia autokar z serii E 290, przeznaczony do przewozu 39–51 osób. Pod podwyższonym poziomem dla pasażerów znajduje się poziom bagażowy, w którym znajdują się: toaleta, przedział do przewozu bagaży oraz szafka kuchenna z lodówką, ta część ma pojemność 7,5 m sześc. Długość autokaru wynosi 10,56 m, wysokość 3,2 m. Źródło napędowe stanowi 8-cylindrowy silnik.

ZENON DUTKIEWICZ

MAGAZYN MOTORYZACYJNY – AUTOKARY

Zielonemi (46)

ABC ogrodnika

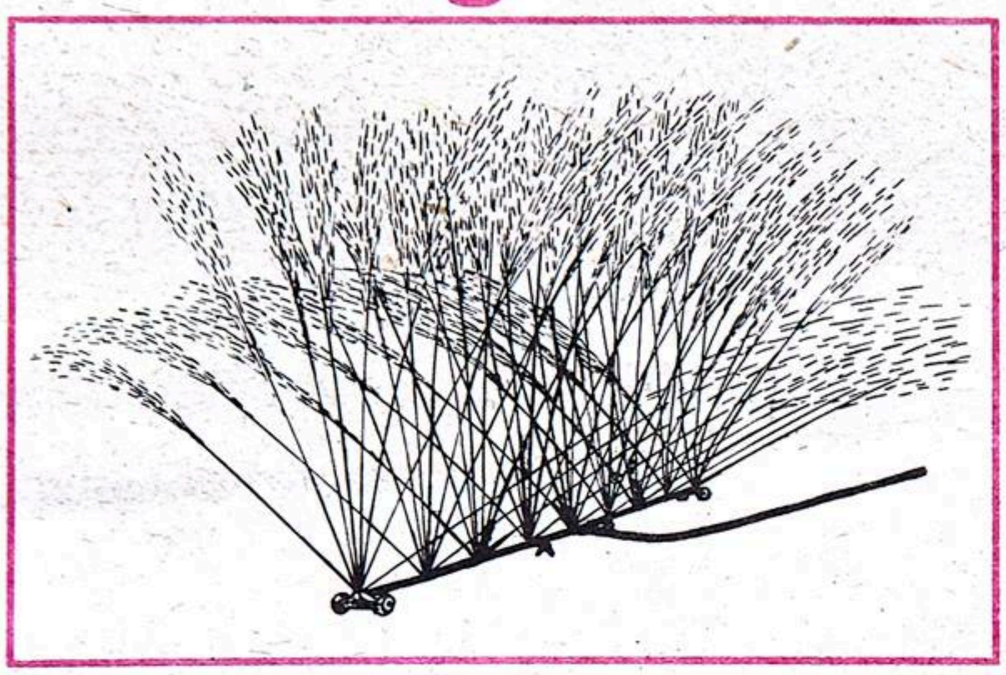

WODA

Oprócz gleby i słońca – woda jest trzecim, najważniejszym czynnikiem koniecznym do wzrostu roślin. Rośliny pobierają wszystkie składniki pokarmowe z roztworów glebowych. Aby wytworzyć 1 kg suchej masy roślina zużywa przeciętnie 400 litrów wody.

Każda gleba ma określoną zdolność do zatrzymywania i gromadzenia wody. Woda deszczowa zatrzymuje się w przestrzeniach między cząsteczkami gleby i wokół cząsteczek. Nadmiar wody opada i przemieszcza się w dół. Im cząsteczki gleby większe, tym mniej wody mogą zatrzymać. Najmniej wody zatrzymuje żwir i piasek, najwięcej glina i gleby ilaste, złożone z mikroskopijnych cząstek. Woda znajduje się w ciągłym ruchu. Po deszczu opada w dół, w czasie suszy i parowania z powierzchni gleby podsiąka ku górze. Podsiąkanie wody jest najsłabsze na glebach lekkich, piaszczystych, a najsilniejsze na glebach zwięzłych, gliniastych.

Odpowiednia do uprawy gleba powinna być przepuszczalna, aby nadmiar wody łatwo z niej odpływał, lecz jednocześnie chłonna, zdolna do gromadzenia zapasu wody.

Jeśli gospodarzymy na małym kawałku ziemi obejmującym kilka zagonków lub może tylko doniczki i skrzynki balkonowe, to stosunki wodne w glebie możemy zawsze łatwo poprawić. Pojemność wodną gleby piaszczystej można zwiększyć przez dodatek próchnicy w postaci torfu, kompostu lub obornika. W ośrodkach miejskich, gdzie zawsze coś się buduje, można łatwo zakupić glinę z wykopów, która rozrzucona cienką warstwą i przekopana bardzo poprawia właściwości wodne gleby lekkiej.

Glebę zbyt ciężką, zlewną, nie przepuszczalną, można poprawić przez głęboką uprawę i dodatek próchnicy.

W czasie upalnych dni letnich trzeba często uzupełniać zapasy wody w glebie przez podlewanie. Ta bardzo prosta czynność jest jakże często błędnie wykonywana. Trzeba umieć podlewać oszczędnie i skutecznie. Na dużych plantacjach stosuje się coraz powszechniej tak zwane nawadnianie kropelkowe. Woda prowadzona cienkimi, elastycznymi przewodami wpływa kropelkami w zasięg systemu korzeniowego. Straty wskutek parowania wody są wielokrotnie mniejsze niż przy zraszaniu roślin.

W uprawach amatorskich podlewa się zazwyczaj konewką z sitkiem lub wężem. Jest to raczej zraszanie roślin niż podlewanie. Woda pokrywając liście i wierzchnią warstwę gleby paruje bardzo szybko i nie dociera do korzeni. Jeśli mamy rośliny większe, to podlejemy je znacznie oszczędniej i skuteczniej konewką bez sitka lub wężem przy małym ciśnieniu, rozlewając wodę pod roślinę bez rozpryskiwania po liściach i całej powierzchni gleby. Rośliny drobne oraz trawnik trzeba niestety podlewać przez spryskiwanie. W tym przypadku podlewamy rzadko lecz obficie, aby woda nasączyła w pełni warstwę uprawną. Podlewanie wieczorem umożliwia roślinom wykorzystanie wilgoci nocą, gdy parowanie jest najmniejsze.

Nawadnianie kroplowe możemy wykonać sposobem amatorskim dla roślin wymagających stałego uwilgocenia lub dla roślin uprawianych w skrzynkach balkonowych i innych pojemnikach na czas wakacyjnych wyjazdów. Najprostsze nawadnianie kroplowe to plastikowa butelka po środkach do czyszczenia z okrojonym dnem, którą ustawiamy szyjką w dół obok roślin lub w skrzynce z kwiatkami. Butelka taka ma plastikową nakrętkę, w której łatwo wykonać mały otwór, aby woda stopniowo sączyła się kropelkami.

Nawadnianie kropelkowe z zapasem wody na tydzień lub dwa powinno się składać z odpowiednio dużego naczynia na wodę z otworem w pobliżu dna. Do otworu podłączamy cienki, elastyczny wężyk, który rozkładamy między roślinami. W wężyku można wypalić rozgrzanym drutem maleńkie otworki, którymi woda będzie się przesączać. Bardziej zaawansowani w majsterkowaniu amatorzy mogą montować na przewodach specjalne kroplowniki regulujące wpływ wody. Kroplowniki są do nabycia w sklepach ogrodniczych.

AUGUSTYN MIKA
Rys. **autora**

Radzimy hodowcom

JAK ZOSTAĆ CZŁONKIEM PZHKiPE ● JESZCZE RAZ O ŚWIERSZCZACH

Zbigniew Lebiocki [redacted] pyta, jakie powinien spełniać warunki, aby należeć do Polskiego Związku Hodowców Kanarków i Ptaków Egzotycznych, oraz czy są jakiekolwiek korzyści z tej przynależności.

Aby zostać członkiem PZHKiPE, należy opłacić wpisowe i roczne składki. Niestety ostatnio opłaty wzrosły, a obecnie planuje się ich podniesienie do wysokości 500 złotych. Członek związku otrzymuje legitymację i znaczek, ma prawo kupić obrączki hodowlane, na których jest jego stały symbol (obrączkowanie ptaków umożliwia dobre prowadzenie księgi hodowlanej), oraz może wystawiać swoje ptaki na dorocznych przeglądach i konkursach. W zależności od inicjatywy zarządu może też mieć umożliwiony zakup książek i broszur poświęconych hodowli ptaków, oraz ułatwiony zakup karmy. Podczas zebrań, które odbywają się w regionalnych oddziałach związku, poruszane są problemy hodowlane, doświadczeni hodowcy wygłaszają ciekawe referaty, oraz zawierane są znajomości między ludźmi o podobnych zainteresowaniach, co bardzo ułatwia wymianę doświadczeń i podnoszenie własnej wiedzy.

Andrzej Galombek [redacted] złapał w stołówce... parę świerszczy, a ich obserwacje zrodziły wiele pytań. Oto odpowiedzi na niektóre z nich:

Prawdą jest, że u świerszczy nie występuje stadium larwy i poczwarki; ale ich ciało pokryte jest twardym pancerzem chitynowym, który musi być co pewien czas zrzucony, aby umożliwić wzrost owadziego ciała. Proces taki nazywamy wylinką. Tuż po wylince, miękkie ciało może intensywnie rosnąć, a następnie powtórnie stwardnieć. Dopiero po ostatniej wylince świerszcze są w pełni rozwinięte i dojrzałe płciowo. Wyrastają im skrzydła, a samiczkom także bardzo długie pokładełko, które po kilku dniach będzie służyło do składania jaj w ziemi. Pokładełko u samiczek wyrasta już na dwie wylinki przed wylinką ostateczną. Długość jego wynosi wówczas zaledwie kilka milimetrów.

ANDRZEJ KRUSZEWICZ

Zielona poczta

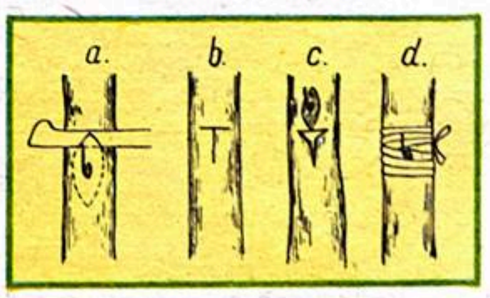

Kol. Jacek Paciuch z Będzina ma swój sposób na przyspieszenie owocowania cytryn i pomarańczy hodowanych z pestek. Zamiast czekać 10 lat na owocowanie siewek proponuje on okulizację siewek oczkiem pobranym z owocującego egzemplarza i wyprowadzenie drzewka cytrusowego z oczka. A oto sposób Jacka:

Z owocującego drzewka cytrusowego odcinamy pęd roczny na zraz. Z pędu odcinamy blaszki liściowe i kolce. Następnie ścinamy oczko wraz z paskiem kory i tarczką drewna. Na siewce robimy nacięcie kory w kształcie litery T, 5–15 cm nad ziemią. Korę odchylamy, wkładamy pod nią oczko i okręcamy paskami folii. Po dwóch tygodniach folię trzeba przeciąć, zaś siewkę przyciąć ponad założonym oczkiem. „Z *oczka wyrośnie pęd, który zaowocuje po dwóch latach*" – zapewnia Jacek. **(am)**

DZIECIĘCY „KOSMODROM"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

we. Nie istnieje przy tym żaden podział na zajęcia „męskie" i „damskie". W klubie radioamatorów jedną czwartą członków stanowią dziewczęta, a w kółku gospodarstwa domowego tyle samo chłopców zgłębia tajniki sztuki kulinarnej. Najlepsze prace młodych mistrzów z Ufy zostały uhonorowane na moskiewskiej wystawie specjalnymi dyplomami.

„Bardzo raduje fakt, że dzieci potrafią nie tylko fantazjować, lecz popisują się także oryginalnymi pomysłami, które można z powodzeniem wykorzystywać w gospodarce narodowej" – tak brzmi wpis do księgi pamiątkowej wystawy twórczości dziecięcej, jakiego dokonali po jej obejrzeniu kosmonauci Paweł Popowicz i Herman Titow.

W latach 1981–1982 młodzi racjonalizatorzy wykonali 13 prototypów, za które otrzymali patenty na wynalazki. Autorem jednego z nich jest uczeń z Jakucka, Igor Gładczenko. Skonstruował on motocykl zimowy na płozach, o udźwigu ponad 100 kilogramów. Pojazd ten, rozwijając szybkość 20 kilometrów na godzinę, może się z łatwością poruszać po śnieżnych bezdrożach Dalekiej Północy.

WŁADIMIR SZCZUKIN (APN)

ZESPÓŁ SZKÓŁ ZAWODOWYCH NR 3 MINISTERSTWA GÓRNICTWA I ENERGETYKI w Bytomiu, ul. B. Bieruta 120, tel. 81-24-25

ogłasza zapisy

na rok szkolny 1984/85 na semestr zimowy, rozpoczynający naukę 1.09.1984 r. do Zasadniczej Szkoły Górniczej w następujących specjalnościach:

– górnik kopalni węgla kamiennego,
– elektromonter górnictwa podziemnego,
– operator maszyn i urządzeń przeróbczych kopalin.

Wszyscy uczniowie otrzymują pomoc materialną, bezpłatnie: ubrania szkolne, buty, kurtki, koszule, krawaty, ubiór do zajęć praktycznych oraz pomoce szkolne i drugie śniadanie. Prowadzimy również dwuletnią Szkołę Przysposabiającą do Zawodu. Warunkiem przyjęcia jest ukończony 16 rok życia oraz ukończona co najmniej 6 klasa szkoły podstawowej. Zapisy do Zasadniczej Szkoły Górniczej przyjmujemy do 15 września 1984 r.

Przy szkole istnieje Technikum Górnicze dla Pracujących (3 letnie dla absolwentów Zasadniczej Szkoły Górniczej).

(K-40)

Autorem mego portretu jest **Marcin Tymczyszyn**, którego zapisuję do Rzepklubu.

*

Nieustający konkurs na mój najpiękniej namalowany portret – trwa! Namalowany, a nie narysowany ołówkiem czy kredkami. Malowanki lepiej wychodzą w druku na naszym kiepskim papierze. Malujcie i przysyłajcie! Najpiękniejszy portret tygodnia ukaże się w „Świecie Młodych", a autor zostanie członkiem Rzepklubu.

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Rzepie, podobno jesteś niezłym specem od palindromów, czyli wyrazów i zdań, które dają się przeczytać w obydwie strony. Znam tylko: KOBYŁA MA MAŁY BOK i nic więcej! Wydrukuj kilka śmiesznych palindromów! Aśka Sekuła.

Proszę bardzo! Rzeczywiście, jestem znawcą palindromów, zbieraczem i twórcą nauki zwanej *palindromologią*, która ostatnio poszła w zapomnienie. Oto palindromy, Asiu:

- ONA RYCZY RANO
- ACAMUSA, JA I MUMIA JASUMACA
- MY, TO ZARAZ O TYM
- ILE ROMANOWI DAŁA ZA ŁAD IWONA MORELI
- METAL MA WADY, BRAK SITKA TAM, A BABA MA TAKT I SKARBY DA WAM LATEM

Do zobaczenia! Wasz Rzep

RZEPKLUB

Zamieszczone poniżej żarty rysunkowe wyszperała **Magda Śmiałek** – członkini klubu.

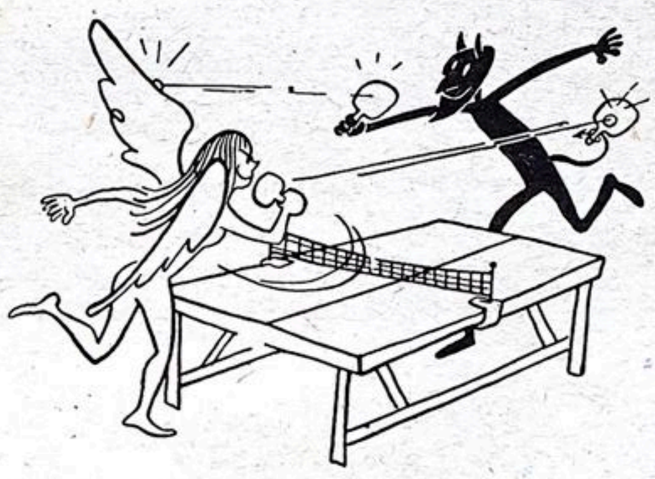

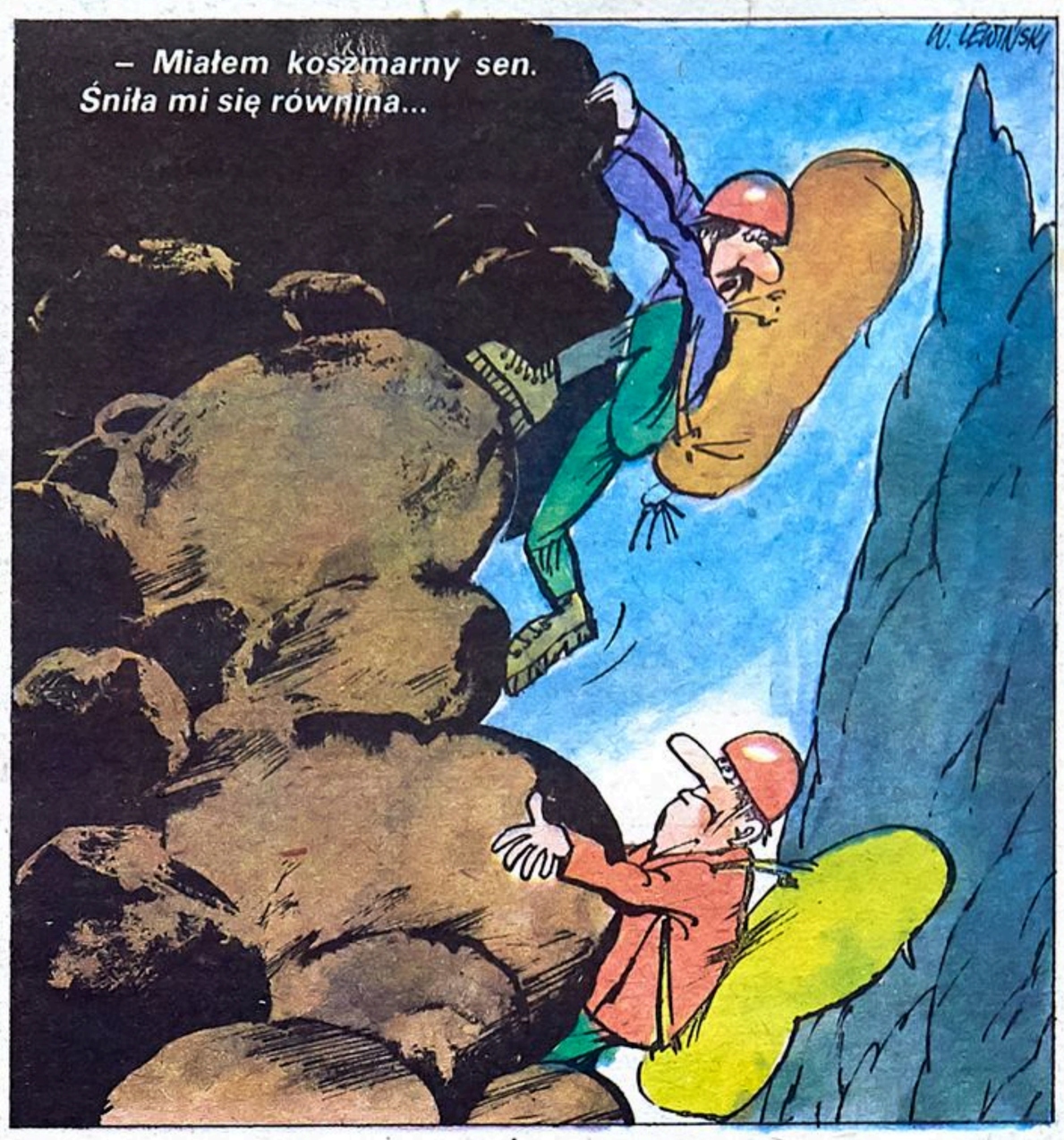

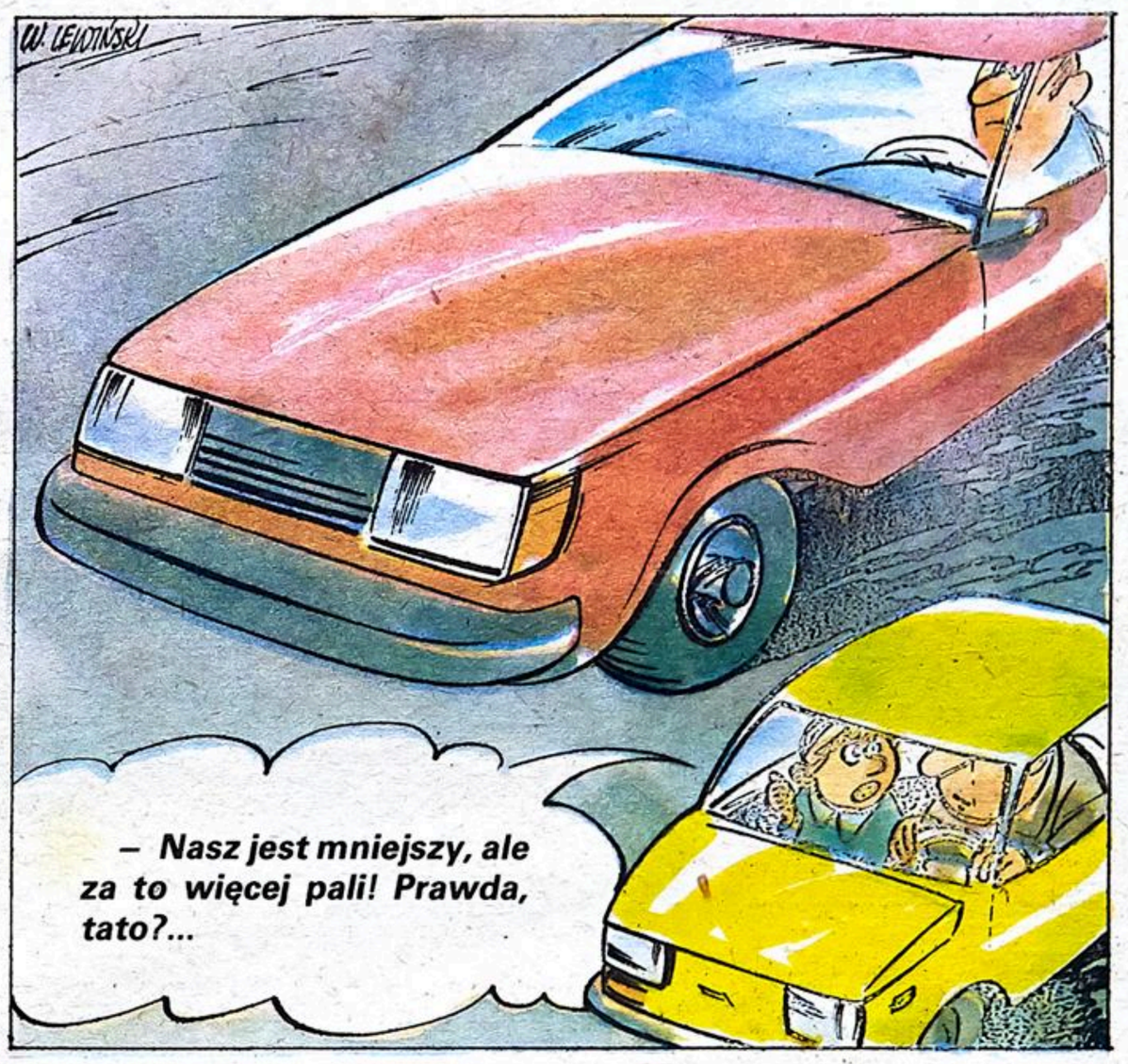

Zaczyna mi bić serce i czuję, że zaraz stanie się coś nieodwracalnie złego. Nie wiem co, ale przecież tej dławiącej ciszy nie można dłużej znieść!

Rundę wygrywa pani Bożenka. Uśmiecha się, oczy wciąż ma przymknięte, głos ani odrobinę mniej pewny niż zawsze, gdy prosi o jeszcze trochę miodu.

– Przynieś nam miodu, Heleno – zwraca się do cienia przy oknie Zabiełło.

– Marianno miła – pada w moją stronę dalszy rozkaz – proszę zapalić światło.

Nie muszę jednak mówić nic niegrzecznego, wyjść, a raczej uciec po prostu – światło, hokus-pokus, zapala się samo. Zabiełłowa wnosi na tacy czarki z miodem.

– Dziecku nie! – śmieje się trochę zbyt głośno Modrzyńska. – Niezwyczajne!

Na tacy stały tylko dwie czarki, Katarzyno, i dość o tym. Odchorowałam tę wizytę, spełnione wreszcie pierwsze jesienne mgliste zaproszenie kierowniczki. Oby go nigdy nie było. Miałam najgorszy moralny kac jaki tylko można sobie wyobrazić. Nie wiesz o czym w ogóle mówię? Twoje szczęście jest doskonałe, Katarzyno! I na zdrowie, Kasiu-Bożenko, do dna czareczki pełnej gorzkiego miodu. Co było wtedy dalej? Nic i wszystko. Lekcja – nowa pod względem treści i formy – mojego prawie dorosłego życia w Nowej. Po prostu siedzieliśmy i nikt nie powiedział ani słowa. Po jakimś czasie, który stał w miejscu jak kat, Zabiełło podniósł się ciężko z fotela, wypuścił na dwór Meda i zgasił światło w pokoju. Żadna z nas nie poruszyła się. Ja siedziałam zdrętwiała i wściekła, że nie potrafię uciec, Zabiełłowa czerniała w kącie, Bożenka uśmiechała się grymasem greckiej maski. A potem on spytał: – wygodnie pani, Bożenko? – i położył jej ręce na głowie. Śmiejesz się, Katarzyno? Ja nie wiedziałam, że trzeba się śmiać.

Zawsze, pamiętam, mówiłaś, że jestem do tyłu i reaguję na opak. Ale, widzisz, to był mój pierwszy prawdziwy film dla dorosłych, grali go przede mną wszyscy troje. Dlaczego, po co – nie wiem. Dławiłam się i huczało mi w głowie, pamiętasz, co robię, kiedy tracę grunt pod nogami, prawda? No więc traciłam. Mruczałam i popiskiwałam w swoim kącie, ale oni ani to słyszeli, ani ich obchodziło. Czy mówili coś? Tak. Nie. Nie wiem.

Kilka razy w życiu byłam gdzieś nie będąc, robiłam coś nie robiąc, wtedy też, bo zupełnie nie mam pojęcia jak znalazłam się w szkole, u siebie. Szłam sama czy z nią? Nie pamiętam. Oprzytomniałam na schodach. Było bardzo widno, Serdeńko wkręcił żarówkę stopięćdziesiątkę, kierowniczka kiwała głową, że rozrzutność, ale „nic nie poradzi, inne wyszli".

Bożena stała na dole z ręką kurczowo zaciśniętą na poręczy, w jaskrawym świetle nagiej żarówki widziałam wyraźnie jej szarą twarz i skrzywienie ust. Teraz myślę, że to było zmęczenie i jakaś niechęć, może nawet do siebie, wtedy myślałam, że gra dalej, a nie warto, bo to tylko schody, a jedyny widz tym razem nie zaklaszcze.

– Długie, wąskie palce – wycedziłam wściekła. – Długie-wąskie-palce...

Drgnęła i spojrzała chyba po raz pierwszy od paru godzin przytomnie. Już tu obecna, nie tam jeszcze, już zdziwiona, nagle rozumiejąca, z poczerniałą i pobladłą zaraz twarzą. Triumfowałam, Katarzyno, pokonałam ją. To ja spowodowałam jej bladość i rumieńce, to mnie przestała imponować. Długie, wąskie palce – powtórzyłam mściwie, a ona przyjęła to jak policzek, choć słowa nie znaczyły nic, i poczuła się upokorzona. I już wiedziałam, że się jej nie boję! Spadła z cokołu. Ryms! Gruchnęło jak wystrzał. Spadła z bardzo wysoka i roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Ryms! Już jej nie ma. Wolnaś, Waga, możesz wreszcie być sobą. Rozumiesz, Katarzyno?

Nic nie rozumiesz. Ja też niewiele.

IX

Zima to głupi czas, nie uważasz? Dzień się kończy zaraz po lekcjach, wieczór i noc wloką gnuśnie i bez potrzeby przez całe tysiące godzin. Śnieg zasypał Nową po uszy, widać w nim tylko biel, mróz i ciszę. Mój świerszcz z kąta wyprowadził się gdzieś do lepszych krajów, pokój opustoszał i zbrzydł. Tłukę się w nim sama, bezsenna i lodowata. Plus czternaście stopni niezmiennie co dzień.

Cdn.

16 H.J. CHMIELEWSKI

TYTUS Romek i A'TO-MEK

Kolorowała A.Dudek Nalewajska

ŚWIAT MŁODYCH HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r. Nr 68(3842)

Wychodzi: wtorki, czwartki, soboty

Nr indeksu 35068. PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:

Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48

Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11–15). TELEX 81-36-58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Redaktor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Grażyna Kłechniowska

Opracowanie techniczne: Barbara Zając

Korekta: Barbara Wasilewska

Nakład 500 000

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 1983/G. T-39

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

– NASZ SĄSIAD jest niezmiernie muzykalnym człowiekiem!

– Skąd ta pewność?

– Moja córka grała wczoraj wieczorem na skrzypcach, to on rozbił kamieniem nasze okno, żeby lepiej słyszeć!

*

– MAMO, wyobraź sobie: Piotruś połknął muchę! Ale nie martw się, zaraz mu dałam dwie pastylki środka owadobójczego...

Kierowniczka siedziała plecami do drzwi. Nie poruszyła się nie tylko na odgłos kroków, ale i na nasze dzień dobry. Nawet nie wiesz, Katarzyno, jak poczułam się tam nagle niepotrzebna i obca. Co ja tu robię, myślałam gorączkowo, w tym domu, z tymi starymi ludźmi? Co robię w ogóle w Nowej? Dlaczego, do diabła, zależało mi na tym zaproszeniu? Dlaczego nie siedzę u siebie z nosem w jakimś zeszycie, a choćby z Maryśką na jej pretensjonalnym ale miękkim, swojskim tapczanie?

– Tak, dobry, oczywiście. Bardzo dobry, skoro jesteście. Prawda, Pawle?

Głos był jak z drugiego świata, a słowa zupełnie bez sensu. Padły o całe wieki milczenia za późno i nie mogły znaczyć nic innego jak groźne jakieś podteksty i niechęci. A zresztą, Katarzyno, nie potrafię ci opisać tamtego wieczoru. To był koszmar nie wieczór i już. Twoja naiwna, zieloniutka Waga, nieświadoma niczego, odbierała zrazu wszystko „jak szło": obraz – więc w kolorze i kształcie trójwymiarowym, słowo – więc fonetyka, nic więcej. Proste. Uśmiech równa się uśmiech, spojrzenie równa się spojrzenie. A byłam sobie w którymś tam zupełnie przyzwoitym dantejskim kręgu i nie wiedziałam o tym!

Nawet urosłam trochę, a jakże, bo wszyscy – rozumiesz? wszyscy – byli później dla mnie mili, pytali, słuchali (ty IDIOTKO!), bo nawet Zabiełło mnie wreszcie dostrzegł. Więc mówiłam – plotłam, coraz bardziej z siebie zadowolona, oglądałam dom (chodźmy, pokażę pani dom – powiedziała kierowniczka i długo mi go pokazywała), piłam ten miód z zaproszenia... To był alkohol, Katarzyno, tylko twoja przyjaciółka mogła myśleć inaczej, nikt inny.

Dom jest opuszczony, Katarzyno. Zupełnie nowy, a pachnie starością i kurzem. Nie ma w nim niczyjego serca, to widać od razu. W takich domach się przebywa, trochę mieszka – nie żyje i nie jest. Wszystkie okna wychodzą na cudowny z każdej strony ogród, piękne srebrne świerki i jakieś nawet w śniegu rozczochrane i nie poddające się zimie krzewy i nikogo nie obchodzi, że to wszystko jest, krzyczy i rośnie. W pokojach na ścianach pusto, gdzieś w zupełnie przypadkowym kącie krzywo wiszący obraz, dalej gwóźdź bez obrazu, karnisz bez firanki, półka bez książek, zeschłe, zapomniane kwiaty w doniczkach. Nocna lampa bez klosza i żarówki. Zimno. Niedobry, piękny nowy dom. I wszędzie cisza. Nawet schody tu nie skrzypią. Podłogi, choć nagie, bez chodnika i skrawka dywanu, też milczą pod naszymi stopami. Zaczynam mówić szeptem, a jeszcze po chwili spostrzegam, że w ogóle od dawna mówię sama.

Kierowniczka patrzy na mnie nie widzącymi oczami. Dobrze – mruczy, że mogłam pokazać pani dom. A teraz już chodźmy, wystarczy.

Bąkam coś niezręcznie, ucisza mnie lekceważącym ruchem ręki.

– Wszystko głupstwo – dodaje bezbarwnie.

Na dole, gdzie zostali Bożena i Zabiełło, przeraźliwie bije późną godzinę stary zegar. Jest ciemno, tylko na kominku pali się ogień. Nigdy nie widziałam tak pięknego kominka, jest doskonale prosty i cudownie ciepły, nie pasuje do tego nieżywego domu. Med leży u nóg Zabiełły, ogromny łeb dotyka butów mężczyzny. Śpi albo marzy po psiemu. Blask ognia oświetla twarz Modrzyńskiej, z miejsca, gdzie siedzę, widzę jej odrzuconą na oparcie fotela głowę i przymknięte oczy. Zabiełłowa (łapię się na tym, że nie myślę już „kierowniczka", a zwyczajnie „Zabiełłowa", jak o jakiejś pierwszej lepszej babie, i czuję, że to chyba profanacja)... Zabiełłowa wychodzi z pokoju, ale za chwilę wraca, staje przy drzwiach. Wychodzi...

Dokończenie na str. 7